Ewers.

1000171942

11449 p 14 g.

PAN HILARY

PRZEZ

MARCELLEGO SKOTNICKIEGO.

Qu'on destine mon élève à l'épée, à l'Eglise, au barreau, peu m'importe— Avant la vocation de parents, la nature l'appelle à la vie humaine. Vivre est le metier, que je lui veux apprendre.

J. J. Rousseau.

№ 1900

TOM I.

Bolesław Banach

WARSZAWA,

W DRUKARNI J. JAWORSKIEGO.

PRZY ULICY MIODOWEJ W PALACU RZĄDOWYM DAWNIEJ PACA ZWANYM.

1847.

№ 1900

A 39327

WOLNO DRUKOWAĆ,

Z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu prawem przepisanéj liczby exemplarzy.

w Warszawie d. 27 *Marca* (8 *Kwiet:*) 1846 *r.*

Cenzor, NIEZABITOWSKI.

K 1174/61/4

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

16-IV-64

ROZDZIAŁ I.

MIĘSZKANIE KAWALERSKIE, DORADCY I PRZYJACIELE.

Było już koło dziesiątéj, a czas zimowy, chłodny, wietrzny i mroźny — mimo tego, okna wielu domów jaśniały mocnym blaskiem, a za niemi, huczała muzyka; po ulicach snuło się wiele powozów i karet, najwięcéj sanek, a odgłos dzwonków pomięszany z gwarem i dźwiękiem katarynek, szczególniejszy głosowy

tworzył chaos, z którego chyba Stwórca wywieśćby zdołał harmonijną nótę. — Zgoła, zimno i wietrzno, trzask, hałas, muzyka, krzyk jak w mieście, mianowiciéj w zapusty — Karnawał, uprzywilejowany czas szaleństw, w którym się przesadza Paryż nad Wenecyą, Londyn nad Rzym, w którym z obowiązku bawić się, trzeba, upajać jak opjum, rozpominać o sobie i drugich, jakże wiele nasuwa myśli!...

Ponieważ i czas uprzywilejowany i inni tak robią, że w końcu w tyle zostać nie można, nie dziwiemy się niczemu, pozwalamy szaleć, bawić się, rozpustować, długi robić, i pościć późniéj. Wszak nawet jest podobno przysłowie, mało zaiste, usprawiedliwione, ale mające wielu głów powagę: *krótko, ale dobrze* — Niestety! czasem się dzieje przeciwnie, bo często bywa i źle i długo.

Z pozornego blasku, z hałasu i tłumu, z śmiechów i gwarów, niech nikt nie sądzi, aby każda wykrzywiona śmiechem

twarz, objawiała zadowolenie; aby pod każdą jedwabną suknią, swobodne biło serce; aby każden okrzyk, był okrzykiem wesela; aby hojny wydatek był znakiem zamożności — Zaiste, przykro jest wspomnieć, że dzieje się wcale przeciwnie, że ludzie sami się zwodzą, chcą zgłuszyć w sobie ostrzegający, zachowawczy instynkt, ale jak owce w czasie pożaru, lgną, biegną sami ku przepaściom.

Zarzuci ktoś zapewne, że z tak widocznych oznak, tylko o wewnętrznem zadowoleniu i o szczęściu wnioskować można — Bynajmniéj — inne są cechy duchowego szczęścia i spokojności, inaczéj objawia się zadowolenie, a nie pijaną radością — Spokojna dusza, czyste serce, żywe uczucia są wdzięczne, ale spokojne, podobne cichemu strumieniowi, który przebiega zielone błonia, przy muzyce szmerzących listków olszyny, całuje kwieciste brzegi i dąży zwolna, rozlewając w około siebie żyzność i ochło-

dę, do swego przeznaczenia — Huczna wesołość, konwulsyjne śmiechy, biesiady zbytkowne, rozpusta i zapomnienie siebie, są tylko szałem człowieka, który korzysta z swobodnéj chwili, aby wszystkie zmysły naraz nasycił, aby odurzył się i zapomniał o wszystkiém; jest to uczta żebraka, który zgłodniały i zziębnięty, wieczorem, wyproszony grosz przepija i jutro znowu Opatrzności poleca. Jest to krok rozpaczającego, który rzuca się w przepaść, aby utopić życie i z niém wszystkie swoje boleści.

Zwyczajną to jest rzeczą, gdy ulice oblepią różnéj wielkości ogłoszeniami, a wszystkie pełne obietnic, przyrzekające zabawy, uciechy, a nawet i bez przymusu, że serce niejednéj piękności zadrży, jakaś niespokojna chęć odezwie się w duszy, jakieś gorące pragnienia grają w piersiach, że na ich uspokojenie koniecznie potrzeba zajęcia, choć chwilowego, roztargnienia, przerwania monotoryi i nie może biedaczka uspo-

koić się, aż zyszcze pewność, że na jednéj lub dwóch zabawach, będzie niezawodnie — Zyskanie téj pewności często wiele kosztuje, bo nie jedna piękność stawa wtedy w oknie i niecierpliwie oczekuje ujrzenia kogoze znajomych, co gdy się powiedzie, wychyla się, miłém spojrzeniem zaprasza, czarującém uśmiechem nęci i gdy wejdzie młody kawaler, często podtatusiały wdowiec, albo obarczony nawet dziećmi mąż, tak grzeczne powitają go słówka, tak uprzejmie piękność rozmawia, tak niekiedy westchnie żałośnie, że serceby pękło, gdyby się nie spytać, za czém biedaczka tak wzdycha? — Czasem, pytający spojrzenia bierze za niepokonane uczucie, westchnienie, za wydzierającą się z piersi miłość i pragnąc dowiedzieć się, czy to czułe serce dla niego bije, pyta, nalega i rozczarowany dowiaduje się, że tylko piękna panna się nudzi, że pragnęłaby się nieco rozerwać, że nawet jest cierpiącą nie wychodząc kilka dni z do-

mu, wybladła i zmizerniała, będąc znudzoną — Trzebaby być kamieniem aby się nie poruszyć na tyle niezasłużonych cierpień, trzeba bydź nieucywilizowanym, aby ich nie pragnąć ukrucić, trzeba bydź zupełnie pozbawionym grzeczności, aby niezaprojektować stosownie do smaku, stanu, wychowania, lub usposobienia piękności, biletów do teatru, na maskaradę, na koncert, albo w końcu i na przyjacielski balik.

Z wielkim namysłem, rzekłbyś że z nieśmiałością, niewolnik owéj piękności zrobił pożądaną ofiarę. — Mówiemy ofiarę, bo często kassa jego nie nadto zamożna, liczne czekają długi, mały kieszonkowy fundusik liczne ma przeznaczenia, albo często gorzéj, zupełnie jest wyczerpany. — Przyjęto ofiarę — i kogóż to nieucieszy, gdy kadzidło pójdzie do góry? — W mieście przecież, nie zawsze się to zdarza. — Nie raz, grzeczny kawaler, amant, lub pretendent do ręki, woleliby odmówienie, nalegaliby, a cieszyli się w du-

chu, że im wolno pozwolono wyjść na miasto. — Lecz na nieszczęście rzadkie podobne odmówienie, wdzięczny uśmiech nagradza grzeczność i jeżeli małe zakłopotanie o rękawiczki, lub trzewiki nie stawi przeszkody, następują narady z mamą, siostrami, często ojcem, a w końcu toaletowe przygotowania.

Drży biedny ofiarnik jak piękność prosi mamę, aby jéj towarzyszyła, bo jeżeli nie skromność, to przynajmniéj przyzwoitość tego wymaga, że panna sama, publicznie ukazywać się nie może.—Mama jest zatem koniecznością. — Nowe następstwo! za mamą musi iść papa, bo taki zwyczaj przyjęty, aby mąż, a do tego i ojciec towarzyszył żonie i córce.— To już trzy osoby, zatem trzy bilety, albo loża w teatrze. Biedny ofiarnik zamyśla się, niekiedy rumieni, lub blednieje, chciałby cóś mówić dla ukrycia swojego pomięszania; lecz wyrazy niedokończone konają mu na ustach, zdania jakoś się kleić nie chcą i chociaż wymo-

wny, jąka się nawet. Wtem nowa przybywa biéda, czarująca piękność ma dwie, mniéj prawda powabne siostry, mniéj nawet od ojca i matki cenione, obok niéj saméj zawsze stawiane w tyle; ale to zawsze są siostry, w domu wiecznie siedzieć nie mogą, potrzebują poznać świat, kształcić się, oświecać, podobać, robić karyery, — prócz tego, będąc mniéj ładne są jakby cieniem na odbicie światła w obrazie, zatem konieczne, aby razem były z siostrą i podnosiły jéj wdzięki. Zatém i one iść muszą, nawet gotują już rękawiczki i kapelusze, i trudno im powiedzieć: panie nie pójdziecie — bo to przyznam się byłoby impertynencyą. — Pięć osób, szósty kawaler oficyalnik, jeżeli mają iść do teatru nie pomieszczą się w jednéj loży; trzeba zatem mężczyznom iść do krzeseł, albo na parter, damom zaś ustąpić dystyngowanego miejsca — jeżeli na inną zabawę udają się zaproszeni, sześć biletów trzeba zakupić i dwie zapłacić dorożki, bo w jednéj trudno się

pomieścić, a podobno obecnie jest nawet ograniczona liczba, jaka wsiadać może w dorożkę — ofiarnik pocić się już zaczyna, chciałby się wymknąć jakim cudem, udać ból głowy, nagły interes; ale znowu przychodzi mu na myśl, że jest czule kochany i swojemu bożyszczowi małéj żałować nie powinien ofiary i że ta równie jak grosz wdowi, a dla niego jest właśnie taką, zostanie przyjęta. — Nadto wstrzymuje go wstyd, czasem rachuby opłacenia wszelkich wydatków posagiem, niekiedy bojaźń, aby mu nie powiedziano: kup pan bilety, a sam kiedy nie masz czasu, lub głowa cię boli, powracaj do domu.

Tak będąc pomiędzy młotem i kowadłem, biedak skłania się na stronę, na któréj rozsiadła się wielowładna pani, zwodnicza nadzieja. — Obliczył już osoby, wyrachował koszta dzisiejszego wieczora i biorąc kapelusz, ma naznaczyć przybycia swego godzinę, gdy oto jaki pan Franciszek, Juljan, lub Władysław,

który jako niedorosły, siedział nad książką, lub piłką mur obijał, nagle dowiedział się o zabawie, na którą cała udaje się rodzina i o smutném swojem przeznaczeniu pozostania w domu; pociera więc oczy, patrzy na ojca, to na matkę, to na siostry, namyślając się w czyją uderzyć protekcyą i w końcu, wiesza się pięknéj siostrzyczce na szyi, nazywając ją, drogą, najdroższą, złotą, srebrną, aby jemu także wyprosiła pozwolenie. Czuły i rzewny obraz, który zapewne znalazłby we Francyi jakiego wielkiego artystę do przelania na płótno, rozrzewnia ojca i matkę, rozmawiają z sobą na migi i w końcu, staje decyzya, że książkowy kawaler ma także mieć udział w zabawie.

Do rachuby ofiarnika, przybyła jeszcze jednostka, nic wprawdzie nie stanowiąca dla ogółu, ale dla kieszeni strasznie uciążliwa — milczy, bo cóż ma mówić; ale zgrzyta zębami i wyklina wszystkie liczne rodziny. — Poddaje się przecież konieczności, uśmiecha się, ale tak, jakby

kto kłuł go szpilkami, bo myśli sobie, że stracić pieniądze i nie zabawić się, to podwójna strata. — Wychodzi więc, w kącie wytrząsa sakiewkę i znajdując ją mniéj wystarczającą, biegnie do jakiego Icka, lub Szlamy, aby, albo na cylinderek, albo na zaręczenie wydostać jakie sto złotych.—Krwawo opłacił ten grosz, tak procentem, jak równie pozbawieniem sie cacka, które go przystrajało, coś cięży mu na sercu, cóś mu szepcze do ucha: źle będzie braciszku! i chciałby ten złowieszczy głos zgłuszyć, przytłumić chociaż, aby mu mniéj wyraźniéj wymawiał, i myśli o przyjemnościach i o zabawie, sztucznych, które nie nasycają duszy, a tępią tylko zmysły.

Z myślą, *byle dzisiaj!* przybywa wyglądany ofiarnik — witają go uśmiechem ubrane panny, zadaje pytania braciszek i wszyscy powtarzają; żeby się przynajmniej nie spóźnić!

Wsiadają w przywołane dorożki — kawaler za swoje ofiary, ma przyjemność

wsadzania panien, otyłéj mamy, którą zaledwie zdołał podnieść, ojca, który zapomniał tabakierki, a on dla przypodobania się, wprzódy musi po niąbiedz po ciemnych wschodach z narażeniem się skręcenia karku; w końcu, wsadza książkowego kawalera i małą panieneczkę, którą nie było przy kim w domu zostawić i którą także ze smutnéj konieczności, wziąść było potrzeba. — Siada i on sam nakoniec — małą panienkę musi trzymać na kolanach, a i tak siedzi nie wygodnie i nóg na raz jeden nie ma gdzie wyciągnąć.

Obok piękności, wśród gwaru, jakieś tajemne odzywają się głosy w biednym męczenniku zabawy, bo jutro smutek nasuwa myśli i nie wiemy, jak nazywać ową przyjemność, jakiéj doznaje.

Nie mało w karnawał podobnych naliczyć można wesołych. — Inny rodzaj, równie, albo więcéj jest obfity.

Oto świetne salony, światła lśnią się w ogromnych zwierciadłach, złoconych

sprzętach, drogich adamaszkach i w galonach liberyi — huczna grzmi muzyka w pląsach przesuwa się młodzież strojna, zalotna, swobodna, ale na pozór. —

Zacznijmy od gospodarza, a przejrzyjmy wszystkich aż w głębię.

Jest to znacznego imienia człowiek; rozległe i wielu nazwisk odziedziczył po ojcu włości, żaślubił piękną, równą mu urodzeniem kobietę, żył świetnie jak dzisiaj żyje; ale mniéj pomyślnemi zmuszony interessami, dobra wypuścił w dzierżawę, sześcio letni wziął naprzód czynsz i wyprowadził się do miasta. Po co? zagadnie czytelnik. —

Rzecz bardzo prosta; miał dzieci, córki i synów, które kształcić należy, jak utarte wyrażenie mieć chce; przytém, jak mówi niewdzięcznem, znudził się gospodarstwem i chce odpocząć. — Czy do odpoczynku ma prawo, z tego względu, aby kiedykolwiek pracował, rzecz bardzo wątpliwa; przecież gdy zacny czło-

wiek tak mówi, wierzyć należy, bo sama grzeczność tego wymaga.

Jak na wsi, tak chciał żyć w mieście— na wsi, miał wiele koni, psów i służących, których na równi z pierwszemi, albo drugiemi stawiał, zatem i w mieście obejść się bez nie mógł. — Na wsi, miał obszerny pałac, osobne dla siebie pokoje, osobne dla dzieci, dla żony, dla guwarnerów i guwernantek, officyny dla gości, i psiarnią dla ogarów i chartów — jakżeż w mieście mógłby się pomieścić w szczupłém mieszkaniu?... Na wsi, był prawie piérwszym w powiecie, najmędrszym w okolicy i głosu jego jak wyroczni słuchano; na wsi, nikt go nieprzewyższył strojem żony, ekwipażem, służącemi, gościnnością i tu nie mógł iść w tył — Liczne zatém były powody, że w ogromnym domu, całe dwa piętra najął, liczną zatrzymał służbę i tylko myślił, aby cudze światło nie zaćmiło jego wielkości.

Po kilku latach pobytu, ów za-

ony obywatel, mieszkający w Warszawie, naprzód, dla przyjemności, później z potrzeby, bo do majątku trafić nie mógł, znacznie nadwerężył swoje fundusze, ale to w najściślejszym trzymał sekrecie; albowiem miał córki na wydaniu, któreby na wsi stosownych dla siebie partyi tak z urodzenia, jak wysokich usposobień znaleść nie mogły, a potrzebowały iść za mąż dobrze, to jest: bogato, i jak same mówiły i przekonywały, wcale nie miały ochoty umierać staremi pannami.

Otóż dla tak ważnej przyczyny, jaką jest myśl o przyszłości dzieci, obywatel ten musi często dawać tańcujące wieczory, herbaty, pączki i tam daléj — Córki jego wraz z matką bywają na wszystkich zabawach, są zapraszane, zatem i on musi dawać zabawy — Znajdą się może ludzie, którzy zechcą obwiniać zacnego obywatela, że lekko pojmując rzeczy, traci majątek i własnemi rękami kopie sobie przepaść; ale niech

owi przyganiacze cudzego postępowania, pomyślą tylko, że dla wykształcenia dzieci wyjechał do miasta, że w niem inaczéj jak na wsi, żyć nie mógł, że teraz, córki dobrze wydać zamierza i że wszystko co czyni, pochodzi jedynie z rodzicielskiéj miłości, a pewnie pożałuje go serdecznie, że jego interessa w nienajlepszym są stanie i będzie mu życzył wygrania miliona złotych na obligacyi udziałowéj.

Ta nadzieja, może nawet nie raz słodziła ciężkie kłopoty długów, processów i zagrożeń komornickich; ale w owéj chwili, choć grzmi muzyka, snują się tańczące pary i śliczny blondyn ściska piękną rączkę córóni; przecież straciła ona moc swoją, jakoś umilkła i pozwala smutnym gościć myślom.

Otóż wniesiono wino — Zagrzmiało zdrowie gospodarza, on sam dziękuje ściskając ręce, uśmiecha się, ale twarz jego wykrzywia się i ciężkie z piersi wydziera westchnienie — Spojrzał na

żonę — i ona równie smutna, choć do siedzącéj obok damy wdzięczy się, bo to matka owego blondyna, który tańcuje z córką gospodarza — pojęli się zapewne, bo i ona spojrzała smutnie.

Jutro, gdy jakie usłużne pismo wyniesie pod niebiosa dany bal, gdy będą chwalić biesiadnicy dobre wina, wyborną kolacyą, gospodarz z westchnieniem obliczy się co komu winien i jakby na pocieszenie zacznie myśléć, ktoby chciał jeszcze pożyczyć, aby na stłumienie złego humoru nowy dać wieczór.

Sproszone koło, chociaż wesołe, śmiejące się, nie jest tak zadowolone jak się wydaje — temu pięknemu kawalerowi komornik przysłał nakaz i jutro może w najsmaczniejszym śnie go przebudzi; ten zdradzony od kochanki, chce innéj zdradą odpłacić i dla tego, jak mówi, dla fantazyi pije i tańcuje; ten ma process i mniéj zaszczytny, ten... ale któżby to wszystko wyliczył? począwszy od najwyższych panów, a zakoń

czywszy na żebrakach bawiących się w karnawałowym czasie, te same chorobliwe napotkać możemy symptomata, a im zabawy chuczniejsze, tém wewnętrznych cięższych domyślajmy się cierpień.

W czasie, któryśmy na wstępie wymienili, w mięszkaniu, położoném przy jednéj, z pryncypalnych ulic Warszawy, składającém się z trzech pokoi, ze sprzętów w nieładzie, z porozrzucanéj garderoby domyślać się każącém, że to jest apartament kawalerski, w ostatnim pokoju, który był sypialnym, siedział młody, najwięcéj lat dwadzieścia jeden miéć mogący mężczyzna, wysoki, szczupły blondyn, blady, z zapadłemi, jakby zaspanemi oczyma, z włosami przecież długiemi i zawinionemi w pukle.

Powierzchowność młodzieńca, oprócz wieku nie miała nic zajmującego — rysy twarzy więcéj kobiéce, niż męzkie, przyćmiony wzrok, czoło wysokie pod kątem rozwartym i brak wszelkiego za-

rostu, czyniły fizognomiją obojętną, pospolitą, na któréj nie wypiętnowała się ani wyższa myśl, ani wyższe uczucie.

Chociaż siedział przy stoliku, na którym łojowa paliła się świéca, oparty na łokciu i zadumany, posądzić go raczéj było można o niedyspozycyą żołądkową, aniżeli o jakiekolwiek cierpienie serca lub duszy.

Łoskot sprawiony stąpaniem po wschodach, przerwał jego zamyślenie; wzniósł głowę, spojrzał ku drzwiom sąsiedniego pokoju i jakaś niespokojność objawiła się na jego licach.

Zawiedziony widać w oczekiwaniu, bo stąpanie zdawało się przenosić na drugie piętro, zerwał się ze stołka i zawołał:

— A niech go piorun trzaśnie!... jużbym całą obiegł Warszawę, a on tak długo na Franciszkańskiéj bawi ulicy — Na honor, spóźnię się, to mię do rozpaczy przywiedzie — Ciekawym która

godzina?... Ah! jak przykra rzecz bez zegarka.

Zaczął chodzić po pokoju, z początku, powoli, następnie, śpiesznie, bo zimno niepospolitego wymagało ruchu, aby w ciele młodzieńca równowagę cieplika można utrzymać.

Nagle przystanął, potarł czoła i znowu mówił:

— Dopiéro byłbym w kłopocie, gdyby Szymon nie dostał pieniędzy!... Ludmile dałem słowo, że będę na maskaradzie i nie dotrzymać, byłoby to samo, co się lekceważącym okazać — Ale nie, nadaremnie nie siedziałby tak długo — zapewne kazano mu zaczekać i...

Na honor, chyba oszaleję bez pieniędzy, gdzie tylko mogłem, zaciągnąłem długi i kredyt moj zupełnie zachwiany — Do ojca, pisać mi niepodobna, bo począwszy od Ś-go Jana, dziesięć tysięcy wybrałem, a choćby miał biedak najszczersze chęci zapomożenia mnie, to podobno wszystko zboże jeszcze w je-

sieni wyprzedał — Jednakże... tak, on zaratować mię musi, bo i do kogóż się udam?

Pisałem mu ostatnim razem, że pewny jestem otrzymania posady, bo przecież musiałem zrobić mu jakąś nadzieję; prawdę przecież mowiąc, ja sam nic na to nie liczę — Bióra napchane młodemi ludźmi, ktorzy inaczéj są usposobieni, inaczéj pracują i czekają cierpliwie; ja zaś, który raz na tydzień przychodzę, zapewne ich nie wyprzedzę — Ale bo i po cóż będę przychodził? pracować i za darmo, to mi wcale nie do smaku — przytém, tak rzadko mam czas i przy stoliku krzyżę mię bolą nadzwyczaj — Ale... tak, nie widzę dla siebie nadziei i gdyby można... Zapewne, bogate ożenienie najwięcéj by mi przypadło do smaku i gdyby nie owa Ludmilka... ale nie, nigdy — ona bydź musi moją, bo ją kocham nad życie — Do czego te dziwne myśli?... Na co dręczyć się przed cza-

sem? wszak wszystko w jednéj chwili zmienić się może i gdybym miał kilkanaście tysięcy... nawet tyle nie potrzebuję — kilka, opłaciłbym moje długi i mógłbym jakiś czas czekać, albo wreszcie, postarać się o co.

Nagłe zakołatanie do drzwi, przerwało monolog młodzieńca, oko jego zabłysło, twarz rozjaśniła się i mówił: Ah! przecież idzie, — i udał się otworzyć przybywającemu — Zawiódł się przecież w nadziejach, bo zamiast jednego Szymona, który miał mu przynieść pociechę, ujrzał czterech przed sobą mężczyzn, wszystkich dobrze mu znajomych i jak się nazywali, od serca przyjaciół.

— Jakto! ty w domu kochany Hilku? zapytał jeden z przybyłych — Zmiłuj się, to wstyd nawet; cała Warszawa się bawi i ty przecież na mnicha nie wyglądasz wcale — Ale cóż jesteś tak mizerny? może jesteś nieco cierpiący?

— Bynajmniéj — wybieram się na maskaradę — ale proszę was dalej, moi

przyjaciele, wy zapewne przechodząc wstąpiliście do mnie, ale nie wzgardzicie fajkami.

— Chętnie — odezwał się drugi przyjaciel.

— Tylko pamiętajcie, że idziemy na tańcującą zabawę i że fajka dla dam nie nadto jest pożądaną. Odrzekł trzeci.

— A dajże pokój, mówił czwarty damy wielkiego tonu, tak dobrze jak my palą sygara, widzieć je nawet możesz w zielonym ogródku, albo w Szwajcarskiéj dolinie, jak z gracyą zapalają amarillos przy ustach kawalerów — zakończył czwarty.

— Bądźcie łaskawi wejść daléj, mówił właściciel mięszkania, chcecie palcie, niechcecie nie palcie, oddaję to do waszéj woli.

I weszli goście do pokoju, w którym przed chwilą, dumał samotny młodzieniec.

Wszyscy czterej byli strojni, w czar-

nych frakach, białych rękawiczkach i z zawiniętemi włosami — W wieku ich małą widać było różnicę, najstarszy miał około lat dwódziestu sześciu, najmłodszy około dwódziestu dwóch — fizognomje ich, prawie wszystkie blade, były dość interessujące — Najstarszy, pan Soliman, brunet, z maleńką bródką, okiem ognistém, więcéj zamyślony, niż wesoły, był wysokim, smagłym mężczyzną — Drugi z kolei, szatyn z zadartym nosem, szerokiemi ustami, więcej niski, niż miernego wzrostu, wciąż się uśmiechał i zdawał się być sam z siebie zadowolony — Przyjaciele nazywali go Alfonsem.

Trzeci z kolei, pan Narcyz bez najmniejszego zarostu, czerwony na twarzy i pucołowaty, z noskiem maleńkim i wypuklém czołem, nie mógł się nazwać urodziwym.

Najmłodszy, pan Aloizy z puszczającym się dopiero zarostem, blady nad-

zwyczaj, miał regularne rysy i oczy malujące żywe namiętności.

Wszyscy czterej, chociaż zbliżeni do siebie uczuciami przyjaźni, a nawet podobieństwem życia, każdy inne obrał rzemiosło — Pan Soliman, najstarszy, był synem obywatelskim, na wsi jednak nie chciał zamieszkać, bo mu się uroiło że wielkiéj sławy i wziętości nabierze w zawodzie malarskim — Z natury swojéj mniéj cierpliwy, zarozumiały, uparty, przyzwyczajony do rozkazywania, nigdy zaś do ulegnięcia, nawet w najgwałtowniejszéj potrzebie, nie zdołał nabyć wiadomości i usposobienia nieodzownych artyście — Leniwy w naukach, lekceważył wszystkie przedmioty; matematyka była dlań nudną i suchą nauką, nauki przyrodzone niegodnemi zajęcia się, historya dubami, na równi przezeń ważonémi co i romanse, języki przedmiotami zdolnemi tylko stępić zdolności umysłowe — Zaniedbywał je więc z wyrozumowania, a kształcił tylko rysunki,

na które nie potrzebował się gotować i które przychodziły mu z łatwością — Z tém usposobieniem, z trudnością postępował w naukach, pragnął jak najprędzéj z nich się uwolnić i zacząć żyć niezawisle — Rodzice, jak wszyscy rodzice, potrzebujący koniecznie wynaleść jakąś stronę wielkości dziecka, z początku, walczyli ze wstrętem pana Solimana do nauk, powoli, dali wmówić w siebie, że w nim tli genjusz malarski i że tego nie trzeba innymi stłumiać przedmiotami, w końcu, ilekroć syn na imieniny przysłał im nabazgrany bukiet kwiatów, cieszyli się wielkiemi jego zdolnościami i poczęli myśléć o tém tylko, aby jak najprędzéj ich synek zrównał się Rafaelowi, Poterowi, Ruisdalowi, albo w końcu Suchodolskiemu, bo konie lubił także malować.

We względzie obrania rodzaju, nie umieli uczynić wyboru, nawet może i nie pomyśleli nad nim, pan Solinan zaś za-

prawne zapragnął bydź samodzielnym, bo nigdy fałdów nie lubiał przysiedzieć.

Po wyjściu ze szkół, które na piątej klassie zakończył, wszedł do pracowni jednego z naszych malarzy i ledwie umiejąc kolory na paletę nałożyć, roił sobie wielkości Rubens'ow, Van-Dick'ow, Kazanowy, Tycyana, Michała Anioła, o których słyszał od współuczniów, a których nie znał zupełnie ani życia, ani dzieł — Co do powodzenia, rokował sobie dochody większe od Vernet'a, Overbeck'a, Delaroche i innych znakomitych dzisiejszych mistrzów.

Kołysany temi marzeniami, niezapracowanego szczęścia chciał już kosztować i przedstawiając łatwowiernym rodzicom świetną swoją przyszłość, złudził ich, że zaciągnęli kilkanaście tysięcy długu, a wynajęli piękne synowi mieszkanie, wytworną garderobę sprawili i przyjęli lokaja — Pan Soliman stosownie do swojéj zamożności, a nie stanu, w którym uczyć się należało, aby i dawniéjsze za-

niedbanie nagrodzić, bawił się, kochał, hulał, z przyjaciołmi robił wycieczki i na sztukę patrzył, jak na podrzędną istotę — Dla tego, zdarzało się, że pan Soliman i tydzień nie postał w pracowni, przyszedłszy zaś niekiedy i to około dziesiątej, nie mógł przy sztalugach usiedzieć, bo miał o pewnéj godzinie *rendez-vous*, bo potrzebował fajkę wypalić, bo czczo mu było i musiał wyjść na śniadanie.

Tak upłynęło lat cztéry; w tym czasie, bracia jego młodsi potrzebowali wychowania, on sam ciągłéj pomocy z domu i fundusz, jaki ojciec posiadał, obciążał się powoli długami, aż w końcu pozostały dla całéj rodziny świetne, ale dalekie spełnienia pana Solimana nadzieje.

Zaczął myśleć, aby je urzeczywistnić, ale myślił po swojemu i dokonywał wszystko według siebie — Spoglądając nie raz z dumą i zarozumieniem na artystę, przy którym pracował, posta-

nowił w końcu założyć sobie *atelier*, pracować na siebie i przybrać tytuł artysty.

Co do jego usposobienia, to było w tém stopniu: chciał robić obrazy, a nie znał rysónku, perspektywy, anatomji, historyi, serca, uczuć i myśléć wcale nie umiał — to jest myśléć porządnie, bo myślał przecież jako ludzka istota, po swojemu.

Otóż pan Soliman jest to sobie artysta malarz.

Przejdźmy do drugiego.

Pan Alfons, syn dostatnego rzemieślnika, otrzymał wychowanie modne, to jest: wszystkiego liznął a nic nie umie. Z wydanych na nauki pieniędzy, sądziéby można, że posiadł wszystkie nauki, talenta i umiejętności — Ojciec, który nie rozumował, czém go miéć chce, pragnął tylko, aby nie był tém, czém on — z czego wynikła nienawiść rodzica do swego stanu, w którym mu się tak dobrze powodziło, powiedzieć niemożemy;

lecz gdy wolno rzucać domysły, to zapewne dla tego, że chciał świetnieć, a świetność nie przystawała do jego stanu.

Kazał więc uczyć syna — i byle wielu chodziło do niego nauczycieli, byle się mieniali na lekcye, jak żołnierze na warcie, nie pytał czego uczą, co jego syn umie i czy ma jakie zdolności — Uczono go więc języków, matematyki, historyi, geografii, nauk przyrodzonych, muzyki, tańca, rysonków i wiele innych przedmiotów.

Jak utrzymywał pan Alfons, szczególniejszą miał zdołność do muzyki i gdy przyszedł do pory, że ojcu mógł swoje zdanie narzucić, żądał zaprzestania innych nauk, a zupełnego poświęcenia się sztuce harmonji — Zapalony oklaskami artystów, których widział, lub o których słyszał tylko, stan muzyka począł uważać za najświetniejszy i dochody liczył już na miliony.

— A co to mój ojcze Lipiński! mówił

do swego rodzica, człowiek sławny w świecie całym, na rękach wynoszą go z sali koncertów, a jaki dzisiaj bogaty!... Albo Artôt, ten człowiek tak młody, a już tak sławny, tak wielkie ma dochody. — Cóż powiem o Talbergu?... wszak ojciec byłeś na jego koncercie i sam widziałeś co się to działo — A Liszt?... to na honor więcéj jak książę udzielny!... co temu, to każdy szczęścia zazdrości — Powiadają, że kiedy się pokaże na sali koncertowéj, to damy przed nim powstają, że rzucają mu wieńce, że biją jego medale, że miliony odbili jego portretów, że orderów ma tyle, że ich na piersiach nie może zmieścić i jakkolwiek młody, ma kilkadziesiąt milionów majątku.

Tyle świetności i powodzenia tak oszołomiły starego ojca, że słuchał jak powieści o zaczarowanych księżniczkach, nie śmiejąc oddychać, a cóż dopiero przerywać synowi.

Młody pan Alfons więc mowił:

— A co mój ojcze, gdybym był takim jak Liszt?

Staremu zaiskrzyły się oczy, westchnął i odrzekł:

— Bóg by to dał mój synu, a mnie miłoby było tego doczekać.

— Doczekasz, drogi mój ojcze, odrzekł czuły syn, całując zgrubiałą i pracowitą rodzica rękę.

Tak więc z błogosławieństwem rodzica i nadziejami najświetniejszych powodzeń, pan Alfons został artystą muzycznym.

Pan Narcyz, na którego koléj przychodzi, abyśmy co o nim powiedzieli, był synem mniéj zamożnych rodziców, którzy jednak wszelkie poświęcali fundusze, aby go dobrze wychować, zgotować dla siebie pociechę, jemu zapewnić byt, i pomoc dla młodszéj rodziny przysposobić.

Otwarta głowa, żywa wyobraźnia, pilność w naukach w niższych klassach, usprawiedliwiały nadzieje dobrych rodziców.

Gdyby usposobienia Pana Narcyza dobry wzięły kierunek, mógłby bydź użytecznym rodzinie, ludzkości i sam mógłby żyć jeśli nie przyjemnie, to przynajmniéj znośnie — Lecz pan Narcyz w czwartéj już klassie, trochę zawcześnie wziął się do czytania dzieł imaginacyi, które niekorzystnie nań wpływały — Umysł wprowadzony w urocze krainy poezyi i marzenia, nie chciał powracać do suchéj matematyki, do nudnéj nauki języków, zgoła do każdéj rzeczy, która potrzebowała natężenia myśli i pracy — Zaczął się opuszczać w naukach, czytać i czytać bez wyboru, następnie kleić wierszyny, w których obok młodzieńczego zapału, nic dostrzedz nie było można, a które jego współkoledzy pod niebiosa wznosili.

Powodzenie zwykle bywa zachętą, dodaje nawet śmiałości i jeżeli nie lękamy się pracy, przy talencie w każdym zawodzie, może nam byt zapewnić — przecież pan Narcyz zakochany sam w sobie, widzący się wielkim, a nazywający w swoich

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

utworach wieszczem, począł gardzić nauką, niższą ją siebie uważać, ganić wszystko i w szkolnym jeszcze mundurze, zaczął pisać recenzye.

W głowie biednego młodego autora, nierozwikłany był haos — praca, chléb, szczęście domowe, zdawały mu się niegodne myśli człowieka — Świat jego, był światem zupełnie nowym, w którym pieją słowiki, nucą i skaczą dziewice, a ludzie z lutniami opiewają wiek złoty — Pragnąc zupełnie żyć w tym świecie, porzucił szkoły, mimo że matka zaklinała go, ze łzami, aby myślał o sobie — Świat ducha, świat poezyi, pełen róż i woni, przyjmie w swoje objęcia dziecię zapału i skroń jego bluszczem osłoni — taka była odpowiedź pana Narcyza, a biedna matka myślała, że syn jéj dostał obłąkania.

Pokochał się pan Narcyz, bo jak mówiliśmy, świat jego pełen był czarownych dziewic — Zdradzony, często potrzebny, a niechcący zająć się niczém, coby mukorzyść przyniosło, a nad czém trzebaby

ścieśnić nieco swobodę ducha i ciała, w nowy przeniósł się świat. — Otóż w około niego były same żmije i węże, w jego piersiach gnieździły się gady, w jego głowie pająki myśli, w sercu trucizny, w duszy gorycze — I opiewał ten nowy świat, językiem, który sam tylko rozumiał, a gdy wielu go nie pojmowało, wyklinał i siebie i ludzi.

Bez zajęcia, bez celu, życie nie musiało być nadto powabne i pan Narcyz słusznie się żalił; ale lekarstwo sam sobie mógł podać, gdyby cokolwiek zimniéj spojrzał na świat i na siebie.

Prawda, pająk dumania roztaczał w jego głowie swe sieci, jak sam powiadał, myślił o wielu rzeczach; ale myślił mniéj zdrowo i wyrodził hryje społeczne w swéj myśli — I tak, każda kobieta u niego, była lodem, istotą bezuszną, nikczemną; każden możniejszy od niego, niszczycielem szczęścia społecznego, a każden inaczéj jak on myślący, głupim, godnym topora, lub szubienicy.

Taki był stan umysłowy pana Narcyza, gdyśmy go ukazali na scenie.

Ostatni pan Aloizy, był to sobie młodzieniec wychowany w dostatkach, którego zamiast pacierza uczono, jaki będzie miał majątek — Matka, bo ojciec w kolebce go jeszcze odumarł, bojąc się o zdrowie jedynaka, nie posełała go zupełnie do szkół; ale domowymi nagradzała to nauczycielami — Francuz i Niemiec uczyli go paplać, nauczyciel rysónków i tańców tańcować i rysować, a metr muzyki gamm na fortepianie; nikt nie wspomniał chłopcu o Bogu, nikt o powinnościach i o miłości dla bliźnich, chyba gdy matka rokująca mu świetne ożenienia, mówiła o zakochaniu się w jakiéj panience.

Jak nauczyciele innych przedmiotów znaleźli go usposobionym, nie wiemy; to pewna przecież, że nie wiedział na co go Bóg stworzył, czego do zbawienia potrzeba i gdzie się Chrystus urodził.

Bydź może, że matka wiedząc jaki

majątek syn mieć będzie, znalazła te rzeczy zbytecznemi; przecież w chrześciańskiém wychowaniu, ten brak zanadto był uderzającym.

Gdy donośne głosy, z boku doleciały przywiązaną matkę, że jéj synowi dużo a bardzo dużo brakuje, postanowiła z Litwy, gdzie zamieszkiwała, przyjechać do Warszawy, dla dalszego kształcenia syna. — Nie sądźcie jednak czytelnicy, aby zamierzyła wziąść jakiego księdza, coby mu przecież powiedział: Kochaj Boga nad wszystko, a bliźniego jak samego siebie; ale kazała go uczyć modnie tańcować i dla nabrania lepszéj szkoły, do śpiewu sławnego zgodziła nauczyciela.

W stolicy, nie pytając na co, dawała mu pieniędzy ile potrzebował; a chociaż sama wyexpensowana, zaciągała długi, byle jéj synek się nie nudził. — Otóż się bawi kochanek a z nim i przyjaciele.

Znajomi nam już goście, oprócz pana Aloizego, który wychowany przy mamie raz tylko na dzień po kawie palał fajeczkę,

zaczęli się podsycać dymem, nie najlepszego tytoniu, śmiejąc się i rozprawiając wesoło, gdy znowu do drzwi zakołatano.

— Ah! to on! zawołał porywając świecę ze stołu właściciel mieszkania. — Ah! odetchnąłem przecież.

I wyszedł pozostawiwszy gości przy jedyném świetle, jakie się wydobywało ze świeżo zapalonych fajek.

— Coś cierpiący jest Hilek — odezwał się Soliman — blady, zmieniony i wcale się niechętnie uśmiecha.

— Zapewne że cierpiący, odrzekł pan Alfons, bo wcale nieprzyjemne są suchoty w kieszeni.

— Cóż u licha! zagadnął Narcyz, przecież jego ojciec ma ogromny majątek i przyznam się, że gdybym był na jego miejscu, inaczéj musiałby mi śpiewać pan ojciec.

— Utrzymuje go bardzo porządnie, kilkanaście tysięcy daje mu rocznie, ale chłopiec puta przystojnie — odrzekł pan Alfons.

— Mama mówi, że kto młody, to powinien użyć świata, odezwał się pan Aloizy. — Co ja, to w tym względzie bardzo jestem szczęśliwy; co zechce, to mam, a jeśli kiedy mama mi odmówi, to siądę jak niemy, słowa nie rzeknę i zaraz są pieniądze, bo mama bardzo się lęka, żebym nie zachorował.

— Ha! ha! ha! To pieszczoszek, jakie ma sposoby dostania pieniędzy — odezwali się chórem trzéj przyjaciele.

Ledwie ucichli, w pierwszym pokoju, taki głos właściciela dawał się słyszéć.

— No i cóż ja poczne bez pieniędzy? czy wiesz, że już dziesiąta i muszę się ubierać, a nie mam ani rękawiczek, ani pomady, ani pachnidła — Czemu nie wziąłeś co ci dawali?

— Jakże miałem brać? Panie, to aż sercu żal, bo przecież wiem co to kosztuje.

— Ale wiesz, że potrzebuję pieniędzy. — Jedź mi natychmiast, weź doróż-

kę i pędź co ci sił stanie — Rozumiesz? najdaléj za półgodziny muszę być już ubranym.

— A co, nie powiedziałem, że ma suchoty w kieszeni? odezwał się Alfons. ciekawym co on takiego chce sprzedać? Hilku, Hilku, słuchajno, przyjacielu.

Pan Hilary, zapewnie zatrudniony wyprawieniem służącego, nic nie odpowiedział, powtórzył mu rozkaz śpiesznego powrotu i zamknąwszy drzwi za nim, dopiero do znajomych powrócił.

— Jak uważam, jesteś w kłopocie mój Hilku? odezwał się pan Alfons.

— Kassa twoja suchot dostała, dodał pan Narcyz.

— Szczególniejszy twój ojciec, zakończył pan Aloizy, moja mama gdyby wiedziała, że ja zasmuciłem się tylko o pieniądze, jużby zastawiła swoje perły i szale.

— Nie wszyscy tak myślą jak twoja

mama, odrzekł nieco pomięszany pan Hilary — ojcowie często mniéj są czuli, myślą i mówią nawet, że doświadczywszy biedy, umiemy później szanować pieniądz — prócz tego, ja nie mało kosztuję mojego ojca i gdy liczne jest rodzeństwo, sam jeden nie mogę mieć prawa trawienia wszelkich funduszów.

— Ale kiedy los ci dopisze, odezwał się pan Alfons, możesz przyjść w pomoc rodzinie; wszak nie bez celu pracujesz, wszak otrzymawszy urzędowanie, możesz odzyskać, coś dawniéj utracił.

Nic na to nie odrzekł pan Hilary, ale z jego fizognomii snadno było wyczytać, że owe rozumowania nie trafiają mu do duszy. — Tym czasem, zabrał głos pan Narcyz i mówił tonem dydaktycznym:

— Oh! nie panowie — Gdybym był na miejscu Hilka, umiałbym sobie poradzić. — Wszak jesteś pełnoletnim i masz prawo żądania wypłacenia ci twojéj części? — W naszym wieku, grosz jeden wię-

céj stanowi, niż dziesięć późniéj — dziś przed nami całe skarby przyszłości stoją otworem i aby je owładnąć, dość dłoń wyciągnąć. — Ale twój ojciec, należy do ludzi starego wieku, do owych samolubów, którzy wszystko czynią dla siebie, a zapominają nawet o własnych dzieciach.

— Nie znasz mojego ojca, odezwał się Hilary.

— Ja znam kilku jemu podobnych, a to są typy zupełnie jedne i te same.

— Na honor, już w pół do jedenastéj, przerwał pan Aloizy powstając i wydobywając ładny, złoty zegarek — Na najwięcéj zajmującą chwilę zabawy spóźniemy się.

— Oh! bądź o to spokojny, odezwał się pan Soliman, w zielonym ogródku, najlepsza zabawa nadedniem, wtedy, gdy młodzież rozweselona ponczem i winem powraca z balów i maskarady, aby do ostatka zmysły odurzyć — Pamiętacie

panowie, co przeszłéj dokazywali niedzieli? — Ah! ten młody, z wąsikami, w szczególnym był humorze — Co za wesołość, co za dowcip!

— Prawdziwy młodzieniec dziewiętnastego wieku — odezwał się Alfons.

— Człowiek, który w każdym widzi brata, który nie myśli o jutrze, traci majątek, i tém samém, równość przywraca — zakończył pan Narcyz.

— Moja mama mówi, pieszczonym odezwał się głoskiem pan Aloizy, że ten człowiek czyni hańbę rodzinie, że pochodząc z tak świetnéj familii inaczéj żyćby powinien. — Pamiętam, był u nas jakiś poważny jegomość, o którego nazwisko zapomniałem zapytać, ten mówił, że dzisiejsi potomkowie zacnych rodzin, przesadzają się na to, kto większą zrobi niedorzeczność.

— A co on nazywa niedorzecznością? zagadnął pan Narcyz — Otóż świat! wszystko potępia, co dąży do

zniszczenia przesądów, do upowszechnienia szczęścia i równości — Takiego człowieka szanować i chwalić potrzeba. — Zapomniał, że kiedykolwiek imie jego było sławne, że przodkowie mieli znaczenie i władzę, a sam mięsza się z gminem i na równi z nim żyje.

Przybycie służącego gospodarza, przerwało rozumowanie pana Narcyza, wszyscy zwrócili oczy ku Szymonowi, który dźwiękiem srebra, słnch rozradował obecnych.

— Ah! przecież, odezwał się pan Hilary — ubieraj mię, ubieraj śpiesznie — chwili nie ma do stracenia — Gdyby przynajmniej Ludmiła jeszcze nie była na maskaradzie.

Z radą i pomocą przyjaciół, pan Hilary niebawem był ubrany — liczne pachnidła i kosmetyki odświeżyły nieco twarz jego.

Łoskot rozległ się po wschodach, na ulicy przywoływanie dorożek głuszyło—i nasi

przyjaciele rozdzielili się — Pan Hilary udał się na maskaradę, panowie, Soliman, Alfons, Narcyz i Aloizy, na balik przyjacielski.

ROZDZIAŁ II.

PRZEGLĄD MASKARADY. TROSKI KOCHANKA.

Przed teatrem mnóstwo powozów, sanek i dorożek — krzyki rozlegają się w kolo, migocą światła i roje osób snują się we wszystkie strony.

Wschody prowadzące do sal redutowych pełne osób płci obojéj — w maskach i bez masek — w dominach i we zwyczajnych sukniach — osoby te, wolno

postępują spoglądając wzajem na siebie, a mianowiciéj na różnobarwne domina i stroje.

Potok głów powoli wlewa się w sale zabaw, rozlewa się na wszystkie strony, mięsza i burzy. — Daremnie tutaj szukać porządku. — ginie on i przedstawia rozmaitość zajmującą dla oka, chociaż zimną dla duszy i serca.

Suną się pary, milczące, strojne, często z szyderczym uśmiechem na ustach; niekiedy przystają, spoglądają, rzekną słów kilka i idą daléj. — Obok nich przesuwa się wenecki poliszynel, nienajwięcéj prawda mający dowcipu, ale smieszny strojem i chęcią zabawienia drugich — daléj żydek, mający chęć robienia spekulacyi, wypożyczania na fanty, albo kupowania przechodzonych pereł. — Daléj, góral z pułapkami na myszy, na którego nikt nie zważa, chyba na to, że bardzo cienkie ma łydki. — Naprożno biedak obchodzi z kąta w kąt, przystaje, uśmiecha się, chce jakimś bły-

snąć konceptem; wszyscy go omijają, najmniejszéj nie zwróciwszy uwagi. — Tam, kucharz z ważochą, skacze i śmieje się, ale dla siebie tylko; owdzie krakowiak rumiany, tupie nogami, aby mu brzęczały podkówki; gdzieindziéj czczy i pusty hiszpan przesuwa się powoli, sądząc że na jego haftowany płaszcz wszyscy zwracają oczy; gdzie indziéj karykaturalny nos rozśmiesza widzów; tam znowu jakaś przylepiona kartka na niemłodéj kobiecie zwabia do siebie ciekawych i t. d., i t. d.

Niekiedy, ale bardzo rzadko zdarzy się jaka miłosna intryga modnéj i młodéj kobiety, która ma za obowiązek uwodzić starego męża; czasem słyszéć można mruczenia masek i głośny śmiech. — Mimo tego wszystkiego, nie widać prawdziwéj wesołości, która zwyczajnie piętnuje się na twarzach, i która w innych zupełnie barwach objawiać się zwykła.

Oprócz powierzchownego typu maskarady, ten jeszcze napotkać można, że nikt nie jest w właściwéj sobie roli. —

Pod skromną szatą, często jest wyższe uczucie, głębsza myśl; pod lśniącemi haftem strojami niedostatek, pod karykaturalną maską, piękne oblicze, pod zwodniczą powierzchownością, brzydka twarz, a brzydsze jeszcze serce — ale na bok obmowa.

Właśnie sale były już pełne, gdy znajomy nam pan Hilary, przez tłumy osób przeciskał się na wschody. — Z bijącém mocno sercem, niezaspokojoném w duszy pragnieniem, uglądał pod każdą maską, swojéj damy, ktora jak miała być ubraną, nie wiedział. — Daremna! obojętne w około niego przesuwają się maski, żadna na niego nie spojrzy, wszystkie śpieszą do jednego celu — Nie zrażony, postępował wolno, w milczeniu, z nadzieją spotkania miłéj mu osoby. — Otóż przeszedł pierwsze forpoczty zabawy, odebrano od niego bilet i wmięszał się w przepływający tłum. — Porywany wirem, idzie gdzie inni śpieszą i potrzykroć przeszedł już

w koło całą salę. — Ludmiły nie ma, czy jéj napotkać nie może.

W około sali, ściany są oszańcowane ławkami, a na nich, strojne siedzą piękności, które albo pragną po utrudzającéj spocząć przechadzce, albo z wyrachowania, zajęły tam miejsca, aby wszystko swobodnie widziały, albo raczéj, żeby były od wszystkich widziane. — Hilary myśli, że tam swoją piękność napotka, że tam znajdzie damę swoich myśli. — Samotny, o ile można, szybkim przesuwa się krokiem około ławek, wlepia ciekawe oczy, wypręża słuch, aby gdy oko go omyli, ucho udzieliło pomocy. — Przebiega oczyma piękne lica, piękniejsze stroje, podchwytuje każdy posłyszany wyraz i nie znajdując czego szuka, idzie daléj.

Już powtórnie w około przechodzi, już mięsza się w płynący potok głów i gniewać się zaczyna, że Ludmiła zrobiła z niego żarcik, że jéj znaleść nie może.—

Jakby na pocieszenie, wita go jakiś znajomy, łączą się i idą daléj.

Znośniejsze mówią cierpienie, kiedy je kto z nami podziela, a chociaż towarzysz Hilarego, nie zna może jego udręczeń, jakoś mu weseléj, że ma do kogo co przemówić, odezwać się niekiedy. — Nowy towarzysz, jest sobie młody i wesoły chłopiec, wszystko go bawi, wszystko zachwyca i pędziłby za każdą maską, za każdą młodą kobietą. — Z powierzchowności jego wnosićby można, że dopiero przybył z prowincyi, i w mieście widzi raj ziemski. — Często nie na rękę Hilaremu ta wesołość towarzysza, o mało nie przychodzi mu na myśl aby go porzucił, ale lęka się samym pozostać i gorzéj jeszcze niecierpliwić.

Jednym razem, ów towarzysz rzecze:

— Patrzaj, patrzaj, co za śliczna maska! jaka figurka, jakie śliczne różowe domino.

Hilary spojrzał pomimowoli, w postawie widać ujrzał jakieś podobieństwo do znajomej osoby, bo odrzekł z żywością.

— Idźmy, idźmy — zdaje mi się że ona! — ale któżby była ta druga, niska kobieta?, tém bardziéj zgadnąć nie mogę, co znaczy ów mężczyzna, który im towarzyszy? Idźmy, idźmy mój drogi, ta maska mocno mię interessuje.

Idąca piękność przed naszemi przyjaciołmi, wyprzedziła ich znaczenie, musieli więc przeciskać się, aby tuż za nią postępować.

Otóż są blisko niéj — widzieć mogą każde jéj poruszenie i słyszéć nawet głos, który chociaż udany, zdaje sią bydź głosem Ludmiły.

— Na honor, rzecze Hilary, to ona!... zmieniła głos, ale ją poznałem.

— Kto to ma bydź, mój drogi? zapytał towarzysz.

— Ludmiła.

— Co za Ludmiła?

— Jakto! nie znasz Ludmiły? piękność znana w całéj Warszawie, tak ze swoich wdzięków, jak nie mniéj z wybornego smaku.

— A jéj nazwisko i znaczenie?

— Późniéj ci wszystko opowiem, odrzekł Hilary. — Słyszę rozmowę i nie chciałbym jednego z niéj stracić wyrazu. — Nie uwierzysz jak mię to wszystko obchodzi.

Umilkli. — Hilary słuchał z zajęciem i następująca rozmowa maseczki z prowadzącym ją mężczyzną wpadła mu w uszy:

— Uczucia chwilowe i przelotne nie zadowolą mię zupełnie, mówił mężczyzna półgłosem; to, co ukocham, pragnę, aby moją wyłączną było własnością i dla tego, gdyś pani pozwoliła siebie uwielbiać, nie narażaj na cierpienia większe nad moje siły.

— A więc czego pan żądasz odemnie? zagadnęła maseczka.

— Czego? powtórzył mężczyzna — uczuć, ale szczerych, niezmiennych.

— Ha! ha! ha!... dziwnych pan wymagasz rzeczy, jak na dziewiętnasty wiek, odrzekła zamaskowana piękność. — Czy można więcéj wymagać od kobiety, jak kiedy mówi że kocha i że rękę swoją oddać gotowa. — Wierzaj mi pan, za nic na świecie, nie zrzekłabym się mojéj wolności, bo w niéj jest moje życie całe.

— Ktoż mówi, aby panią chciał uczynić niewolnicą?...

— Byłoby to cokolwiek za śmiało mój panie; lecz znam was dobrze, moi panowie, gdy odchodzicie od ołtarza, kobietę uważacie za istotę, która ruszyć się bez waszego pozwolenia nie może. — Wszystko jéj jest wzbronione; śmiech, płacz, zabawa, towarzystwo, sposób życia, powinna do waszéj woli stosować.

— Lecz kochając, tak miło jest podobać się ulubionéj osobie.

— To samo i ja mogę powiedzieć.

Umilkli. — Hilary brnął w domysłach, chciał jakiś pewny wyprowadzić z nich wniosek, ale umysł jego coraz bardziéj się mięszał.

— Nie, to nie ona, rzecze. — Ludmiła ma głos daleko przyjemniejszy i figurkę zgrabniejszą; ale nie, trzeba się o wszystkiém przekonać.

— Hilku, odezwał się towarzysz, sądzę że nie od rzeczy byłby kieliszek wina, coś zaschło mi w gardle i możeby humor się nasz polepszył.

— Późniéj służyć ci będę, odrzekł ciekawy młodzieniec; wprzódy muszę się przekonać kto jest ta piękność w domino.

W téj chwili, odgłos trąb oznajmił rozpoczęcie się widowiska. — Maska, a z nią młody mężczyzna i drugie domino, skierowali się ku drzwiom, a za niemi pan Hilary ze swoim towarzyszem.

— Muszę wiedzieć kto ona, powtarzał pan Hilary.

— Cóż cię tak bardzo obchodzi? zagadnął towarzysz.

— Co?... ty nic nie wiesz — ale bądź cierpliwy i czekaj końca, wszystko ci później opowiem.

Maska, mężczyzna i domino, zapóźno przybyli, aby znaleść miejsce w lożach, lub krzesłach; musieli więc umieścić się na parterze, do tego w miejscu dość ciemnym, którego może szukali.

Hilary, który jak cień postanowił ścigać zamaskowaną piękność, tuż był za niemi, miał tylko na uwadze, aby ich unikać spojrzenia i w razie zwrócenia oczu, zręcznie się ukryć.

Sztuka, jaką przedstawiano, nie obudzało uwagi naszych przyjaciół; młoda piękność, wciąż patrzyła po lożach i krzesłach, mężczyzna wciąż mówił do niéj półgłosem, towarzyszące im domino podsłuchiwało każden wyraz, a Hilary całą duszą był pomiędzy niemi — młody

człowiek stojący przy nim, śmiał się serdecznie z przedstawienia i klaskał, tak głośno, że zagłuszał swojego przyjaciela, który w owym czasie, prowadzonéj z pięknością rozmowy nie mógł posłyszéć.

Widac, że ta rozmowa interessującą była dla pana Hilarego, bo bladł to znowu nagle się rumienił, zgrzytał zębami i kilkakroć westchnął ciężko, co powinno było zwrócić uwagę zamaskowanéj piękności, gdyby cokolwiek czulsze miała serce, lub mniéj była innemi zajętą przedmiotami. — Jednym razem, pan Hilary, pochwycił mocno towarzysza za rękę i wstrząsając nim całym zawołał:

— To ona!... poznałem ją.

— I cóż mię to obchodzi? odrzekł obojętnie młodzieniec.

— Ciebie nic nie obchodzi; a we mnie krew się gotuje, nie mogę ruszyć się z miejsca. — Bądź zdrów — muszę

iść, muszę jéj niewiarę wytknąć na oczy.

— Gdzie idziesz? zapytał odchodzącego Hilarego.

— Zobaczysz, odrzekł i wyszedł.

Opuszczony przez Hilarego młodzieniec, nie zwracając uwagi na siedzących przed nim, patrzył z całém zajęciem na przedstawienie i gdy się to ukończyło, razem z innemi wszedł na maskaradowe sale.

Podsyciwszy się kolacyą i dwoma szklankami ponczu, wychodził właśnie z bufetu, mając się udać na galeryą, gdy jakieś domino w kapucyńskim stroju, nadspodziewanie pochwyciło go za rękę.

— A co? gdzie oni poszli?...

— Kto?

— Owa piękna maseczka, ten młody mężczyzna.

Z głosu, młodzieniec poznał Hilarego i zdumiony nagłém przebraniem, odrzekł wahając się:

— Nie wiem.

— Jakto nie wiesz? wszak pozostawiłem cię umyślnie przy nich, abyś ich nie spuszczał z oka.

— Zupełnie nic o tém nie mówiłeś.

— Ja tobie nie mówiłem? Nieszczęście! niewiem, gdzie ich teraz mam szukać, a muszę znaleść, choćby mię to życie miało kosztować.

— Na co tak wiele, odrzekł obojętnie znajomy pana Hilarego — przejdź raz i drugi po sali, a pewnie ich napotkasz — Oto słuchaj mój Hilku, napij się szklankę ponczu, lepszą nawet będziesz miał fantazyą.

— Ah! dajże mi pokój i z ponczem; albo dobrze, wypiję, nawet nie jednę — tylko śpiesz się, mój drogi i nie opuszczaj mię na chwilę, będziesz mi bardzo potrzebny.

Nic nie odrzekłszy młodzieniec, wprowadził pana Hilarego do bufetu, gdzie kończąc trzecią szklankę ponczu, ujrzał

piękną maseczkę, która nieobojętną była przyjacielowi, i rzekł półgłosem:

— Hilku, na prawo, zdaje mi się, że ona.

Pan Hilary spojrzał jak błyskawica, o mało nie upuścił z rąk szklanki i powstawszy, podsunął się do maski, przy której był ten sam mężczyzna i to samo domino.

— Znam cię maseczko, rzecze drżącym głosem pan Hilary, któremu jakby w asekuracyi stał przyjaciel.

— Nie sądzę, odrzekła maska piskliwie.

— Pozwól twéj ręki, znowu mówił Hilary, nakreślę twoje imie, a przekonasz się.

— Nie widzę potrzeby, odpowiedziała maska — ale żeby cię przekonać, mój kapucynku, oto jest ręka.

Hilary ująwszy rękę, chciał z niéj przekonać się o swoim domyśle, niepodobna jednak było zdejmować rękawiczki i po-

przestał na nakreśleniu imienia Ludmiła.

— Oh! mylisz się, mój kapucynku, rzekła maska wstrząsając głową; osoba którą zapewne chcesz napotkać, bawi się bardzo wesoło, ale nie tutaj; gdybyś mię poprosił, możebym ci powiedziała, gdzie się teraz znajduje, ale może jesteś zazdrosny i niechcę narażać cię na cierpienia, bo w téj chwili, liczne ją grono mężczyzn otacza.

Maseczka mówiąca temi wyrazy, tak do niepoznania zmieniła głos, że Hilary sam nie wiedział co odpowiedzieć, począł powątpiewać, wahać się, namyślać i w końcu odrzekł:

— Wielkąbyś mi zrobiła przysługę maseczko, żebyś mi powiedziała, gdzie się znajduje osoba, której szukam.

— Nie, nie mogę — odrzekła i podała rękę swojemu kawalerowi.

Hilary nie wiedząc co począć, pochwycił dłoń swojego towarzysza i obadwa

udali się za maską, która w tłumie znikać poczęła.

— Szczególna! mówił Hilary; w teatrze zdawało mi się, że głos jéj poznaję, figura zupełnie jej, ręka tak mała, a przecież gdy się do niéj zbliżyłem...

Nie, mój drogi Wacławie, nie odstępuj mię, muszę wiedzieć kto jest ta dama, a gdyby była Ludmiłą!... Na honor, tegobym przeżyć nie zdołał. — Na moje uszy słyszałem, jak wymówiła wyraz *kocham*, który mi właśnie tak samo zabrzmiał, jak gdy mnie szczęście przynosił.

— A to byłoby niegodziwém ze strony pięknéj maseczki, odezwał się pan Wacław; teraz pojmuję, że ważną jest rzeczą o wszystkiém się przekonać. — Spieszmy, spieszmy mój drogi. — Patrzaj, właśnie dobyła chustki z woreczka, może znasz jéj płatki, albo ujrzysz jéj cyfrę.

Jak sęp iskrzącem okiem pogląda na

swoją zdobycz, tak Hilary spojrzał na białą, obszytą koronkami chustkę, którą właśnie rozpuściła młoda piękność.

— To ona! to ona! zawoła. — Oh! nie, teraz nie jestem w błędzie. — Idźmy, idźmy Wacławie, przesuwajmy się około niej aby widziała, że to ja jestem, że wiem o wszystkiem.

Obadwaj młodzieńcy pospieszyli za piękną maseczką i tak mówili głośno, że ta pomimowolnie słysząc wymawiane nazwisko swoje, obejrzéć się musiała. — Widząc, że jest natrętnie ściganą, obcym językiem odezwała się do towarzyszącego jéj mężczyzny, aby dla uniknienia nieprzyjemności, zręcznie, a nawet tajemnie opuścić zabawę. — Mężczyzna ów obejrzał się, spojrzał groźnie i mocno ująwszy rękę piękności, idąc śpiesznie, pragnął się pozbyć natrętników.

Daremna — obszedł po dwakroć salę, wszedł do bufetu, zbłądził nawet na galeryą, przeszedł przez bufet, a wszę-

dzie Hilary ze swoim przyjacielem był z niemi.

Towarzyszący damie, lekkoważąc przeciwnika, śmiało przesunął się przez drzwi wchodowe i schodził na dół; obejrzał się, a i tu, kapucyn był za nim.

Donośnym głosem przywołał powóz, wsadził dwie damy i sam wsiadł z niemi — powóz, czy go poznać nie mógł pan Hilary, czy też był zmieniony, zdawał mu się nie należeć do Ludmiły; przecież myślał, że mógł być własnością szczęśliwego mężczyzny, któremu przyrzeczono miłość i dla tego, postanowił ścigać ów pojazd, aż do miejsca, gdzie się zatrzyma.

Z niemałym kłopotem, udało mu się przecież dostać sanek, w które wsiadłszy wraz z młodym człowiekiem, którego nazywał Wacławem, kazał pędzić co sił stało za pojazdem, który w Senatorską ulicę potém ku Krakowskiemu skierował się Przedmieściu.

Opóźnienie pana Hilarego było dość znaczne, że mógł stracić wszelką nadzieję przekonania się o swojéj piękności; przecież wiedząc mieszkanie Ludmiły, kazał pędzić ku niemu i pod Kopernikiem zdołał dogonić powóz.

— To ona! rzecze do przyjaciela. — Tak, jeszcze kilka minut, a wszystko będę wiedział. — Ten mężczyzna, któremu wiarołomna przyrzekła miłość, nie wróci zdrowy do domu, przysięgam. — Ja, albo on, jeden z nas musi paść trupem.

— Ale zważaj, że jesteś bezbronnym, zrobił uwagę pan Wacław.

— Ale wściekły, na nic nie zważający.

— Ja sądzę, że jeżeli znajdziesz wiarołomną swoją kochankę, porzuć ją, jako niegodną.

— Oh! to łatwo mówić obojętnemu.— Ale ja...

Tu zatrzymał się powóz przed je-

dnym z domów, a nawet lokaj zeszedł, aby drzwiczki otworzyć.

— Aha! to jéj dom — rzecze Hilary i wyskoczył z sanek, które jeszcze zatrzymać się nie zdołały. — Pobiegł prosto ku bramie domu i tam, zdjąwszy karykaturalną maskę, miał powitać wiarołomną kochankę.

Po cichéj rozmowie, drzwiczki powozu zatrzasły się znowu, lokaj wskoczył za powóz i nieznajomi w dalszą puścili się drogę.

— A niech ich piorun trzaśnie! zawołał pan Hilary odchodząc od bramy domu, a zbliżając się do sanek. — Widać mię poznała i chce uniknąć spotkania; ale nic to nie pomoże, choćby do piekła pójdę za nią i niewiarę jéj wyrzucę. Daléj! rzecze do powożącego, rubla dostaniesz na piwo, a pędź choćby ci konie popadały. — Muszę dowiedzieć się, kto jest ten mężczyzna, bo płazem puścić mu nie myślę wcale.

Podniecony obietnicą, sankarz, pod-

ciął konie i puścił się za powozem, który naszych znajomych daleko już wyprzedził. — Powóz szybko przebył Nowy świat i przy Nowéj drodze, skierował się na lewo w Aleje.

— Jedź, jedź za niemi! wołał pan Hilary.

Sankarz, pragnący dogodzić hojnemu panu, podciął na nowo konie i zwracając w kierunku, w jakim się udał powóz, ogromnie uderzył o kamień.

W mgnieniu oka, wywróciły się sanki i pan Hilary padł na kamienie o które się mocno pokaleczył. — Powóz tym czasem, pojechał, a nawet nikt nie miał ochoty patrzéć już za nim.

Z pomocą sankarza i towarzyszącego mu przyjaciela, podniósł się pan Hilary, ze skroni jego lała się krew i bok mu ogromnie dokuczał.

— Ha! nieszczęście! powtarzał — nie będę mógł przekonać się, czy to była Ludmiła i co to za jeden ów mężczyzna.

Wacławie Wacławie, czy ich jeszcze nie widać?

— A dajże pokój, mówił pan Wacław; lepiéj myśl, jakby krew utamować, albo raczéj powracać jak najprędzéj do teatru, aby płaszcz odebrać, bo i ja z twojéj łaski drżę cały.

— Co mnie wszystko obchodzi? odrzekł pan Hilary. — Co mi po życiu, gdy ona kocha innego?

— Ale zkądże wiesz, że to ona?

— Oh! tu, tu, mówił pokazując na serce, tu czuję jéj zdradę i nie przeżyję jéj.

— Umieraj sobie, kiedy ci się podoba; ale mnie nie każ marznąć dla siebie. — Siadaj, albo sam pojadę.

— I cóż mam robić? mówił pan Hilary, z trudnością wsiadając w sanki. — Daj mi Boże, tylko jutro doczekać, a za wszystko się zemszczę!

— Rób, co ci się podoba, odrzekł towarzysz. — No daléj, mówił do woźnicy, jedź prędzéj, bo cały drżę od zimna.

Niebawem nasi znajomi przesunęli się do teatru; pan Wacław, udał się, aby za kontramarką odebrać płaszcz, pan zaś Hilary, mimo, że szczękał od zimna, musiał w głasowanym habicie, powracać do domu, bo Magazyn, gdzie w zastaw dał płaszcz, od dawna był już zamknięty i żadną miarą nie mógł się do niego dopukać.

ROZDZIAŁ III.

POWRÓT PANA HILAREGO DO MIESZKANIA — BEZSENNOŚĆ I NAMYSŁY — LUDMIŁA — DALSZE NASTĘPSTWA.

Pan Hilary opuszczony od Wacława, gdy nie mógł dopukać się do magazynu, gdzie za kapucyński habit zastawił płaszcz, drżący od zimna i pokrwawiony z potłuczenia, skierował się ku mieszkaniu gdzie pragnął nieco się ogrzać, obmyć wypocząć duchem i niejaką odzyskać spokojność.

Rzecz tak snadna z pozoru, trudną się okazała w wykonaniu; albowiem stanąwszy przed bramą domu, pukał i bił nogami, ciągnął za sznurek od dzwonka i wołał na całe gardło, ale nikt się nie odezwał, ani tém samém, brama nie myślała się otwierać.

Przyznać należy, że we fraku, osłoniony lekkim tylko habitem, w czasie Styczniowéj i chłodnéj nocy, miał prawo uskarżania się pan Hilary. — W rzeczy saméj, zziąbł okropnie, nawet ostygł już z gniewu na wiarołomną kochankę i tylko bicie nogami nadając ruch, chroniło od zupełnego zziębnienia.

Jak dla młodzieńca wychowanego w pieszczotach, któremu w dzieciństwie, w czasach wilgotnych, wyjść z domu nie było wolno, który nosił trzewiczki na futrze, a majtki na wacie, zimno to, musiało być nader dotkliwém; co gorsza na słabe jego zdrowie, złe skutki mogło sprowadzić; tém pewniéj, że nie przyzwyczajony do przeciwności, gotów do

największych policzyć tę przygodę, że brama, na pierwsze zapukanie, nie otwarła się przed jego twarzą.

Gdyby to zobaczyła czuła matka pana Hilarego, umarłaby chyba z boleści, że jéj dziecię tak srogiego losu doznaje.

Na szczęście, czuła matka, o tém może wiedzieć nie będzie, a pan Hilary w mieście, nieco przywykł do tego, że nie wszystko idzie po naszéj woli, że nie raz musiemy uledz potrzebie, a w końcu, sam był przyczyną swojego cierpienia.

Mimo tego przecież, pan Hilary niecierpliwił się i klął okropnie, ba! nawet do rozpaczy przychodził, gdzie noc przepędzi.

Szczęśliwym trafem, czy stróż obudził się pukaniem, czy też rano wstać zamierzył, aby przed świtem oczyścić rynsztok przed domem i zamieść podwórze, dość, że dały się słyszeć stąpa-

nia, które chociaż wewnętrznie uradowały naszego kawalera, wywołały jednak srogie przekleństwa i ciężkie groźby. — Zapewne spełnić je pan Hilary nie omieszkałby, gdyby stróż domu, był jego wyłączną własnością, albo gdyby był służącym ojca lub matki, albo gdyby w końcu, pan Hilary regularnie płacił za mieszkanie.

Przypomniawszy sobie ostatni argument, umilkł i czekał, rychło stróż otworzy, aby czémprędzej dostać się do swego pokoju, w którym chociaż nie palono, było nieco ciepłéj niż na dworze, i w którym mógł dostać się do ulubionego szlafroka, albo w końcu, pod ciepłą ukryć się kołdrą.

Otworzono bramę, pan Hilary w milczeniu, przeszedł przez sień, udał się na wschody i wkrótce zapukał do własnego mieszkania.

Cóż u licha! nikt mu drzwi nie otwiera, a przecież ma służącego, któremu prawda dość nieregularnie płaci, ale

zawsze płaci. — Jakto! on śpi i nie czeka na pana?!. Otóż dzisiejsi służący, otóż pilność i przywiązanie do panów! pomyślał pan Hilary i wstrząsnął mocno drzwiami, że aż szyby w pokoju zadrżały.

— Szymonie! Szymonie! to ja, otwórz.

Żadnéj odpowiedzi — słychać przecież głośne w pokoju chrapanie, co w zapalczywość wprawia młodego kawalera. — Wstrząsł znowu drzwiami, silniéj jak pierwéj i przecież odezwał się głos.

— Kto tam?

— Ja, otwórz.

Czeka w milczeniu pan Hilary, ale nie słychać ani stąpania, ani się drzwi nie otwierają. — Służący widać ocknął się tylko i śpi w najlepsze.

Uderzył nogą pan Hilary we drzwi, aż deska pękła i znowu głos się odezwał: Kto tam?

— Dam ja tobie hultaju! rzecze prze-

zedrzwi pan Hilary, łotr śpi w najlepsze, jak pan, zamiast czekać rychło powrócę; nauczę ja ciebie służby hultaju!

Donośny głos pana, a do tego tak groźny, przywołał widać do przytomności rozespanego służącego; bo nie długo zabłysło światło, które się przebiło przez dziurkę od klucza i zaraz potem, drzwi się otwarły.

— Ah! łotrze, zawoła pan Hilary, uderzając w kark służącego, ja ziębnę za drzwiami, a on hultaj śpi i chrapi, jakby go nic nie obchodziło moje zdrowie.

Tak powitany służący, wypuścił lichtarz z ręki, świeca padła na ziemię i zgasła, a pan i sługa obadwa zostali w ciemności.

Niezręcznością, biedny Szymon, na nową karę zasłużył; lecz że pan prędzéj pragnął bydź u siebie, odłożył ją na późniéj i pozwolił zapalić świecę.

Wprowadzony do pokoju, w którym

widzieliśmy go dumającym na wstępie opowiadania, łżył i bił służącego; następnie, kazał mu odejść i sam zostawszy, zaczął po pokoju przechodzić, a w końcu, mówić do siebie:

— Przeklęta maskarada!... gdybym był wiedział, nie byłbym sprzedawał mojego dywana, bez którego jakoś mi nie na rękę. — Ah! jakże mi bok dokucza! to widzę nie żarty i gdyby przynajmniej nie chorować! A Ludmiła?... to ona, nie ma wątpliwości, poznałem ją od pierwszego razu, ale sam sobie nie dowierzałem. — Jutro, tak, wyrzucę jéj wszystko na oczy, bo widziałem jak owemu mężczyźnie ściskała rękę, słyszałem, jak przyrzekała mu miłość. — Zadziwi się zapewne, zkąd ja wiem wszystko. — Ah! to okropna przekonać się o wszystkiem własnemi zmysłami.

Kto wie? może ja w błędzie, może Ludmiła tylko chciała mnie zmartwić, doświadczyć mojéj miłości? — Jutro

wszystko wyjaśni — pójdę, albo nie, napiszę do niéj, zastraszę, że przez nią poniosłem szwank, że o mało nie utraciłem życia. — To pewnie ją wzruszy, bo Ludmiła czułe ma serce. — Zatem nie traćmy czasu, spać mi się nie chce i póki żywo czuję, lepiéj napisać potrafię.

I w téj chwili, na stół, na którym leżały w nieładzie, rękawiczki, krawat, fajka, rozsypany tytoń, szczotka, pomada, grzebień, żelazko od włosów i jakieś pudełka z proszkami, przeniósł świecę, wydobył arkusz papieru, na którym zapewne koncept pisać zamierzył i zapaliwszy fajkę, usiadł.

Długo siedział zamyślony, zrywał się, i mówił do siebie i nagle porwawszy pióro, napisał: pani!...

— Od czego zacząć? rzecze, na honor, nic mi nie przychodzi do głowy, — pomyślmy.

I znowu zaczął chodzić po pokoju. — Usiadł nareszcie, pisał i pisał, a po-

tém mazał; w końcu rzekł powstając:

— Ale na co korrespondencye? lepiéj sam będę i wszystko sam załatwię. — Gdyby był tutaj Narcyz, on by mi napisał jak należy, bo jak on napisze, to rzadko!

Zadziwi może czytelnika, gdy powiemy, że pan Hilary bardzo kosztowne odebrał wychowanie, że zaszczyca się ukończeniem szkół, że słuchał licznych nauk, że ojciec wielkie na nim rokował sobie nadzieje; lecz usprawiedliwiamy jego nieumiejętność w napisaniu listu.

Naprzód, list jest taką drobnostkę, że o nim nawet myśléć nie trzeba, i na cóż listów uczyć się pisać? powtóre, w wychowaniu pana Hilarego, zawsze miano na względzie, że będzie miał sekretarza i nigdy nie będzie potrzebował sam pisywać; w końcu, że w dzisiejszym czasie dosyć jest biednych pismaków, którzy gotowi są na zawołania pańskie.

Pan Hilary, czy z niemożności napisa-

nia listu, czy z wyrozumowania, że lepiej iść samemu, postanowił cierpliwie przeczekać do dnia, przespać się nawet i kiedy nadejdzie stosowna pora wizytownaia, spaść na Ludmiłę z wyrzutami, gniewem, a nawet niegrzecznością obrażonego kochanka.

Z myślą, jak ma groźnie wejść do jej mieszkania, jakiemi rozmowę zacząć wyrazy, jak bydź nieporuszonym na wszelkie wdzięki i uśmiechy, położył się w łóżko; lecz doznane w tym dniu fatalizmy, spędzały sen z oczów, tem pewniéj, że bok boleśnie mu dokuczał i jakieś złowróżbe przeczucia odzywały się w duszy.

Gdy dzionek biały zaglądał w okna, usnął dopiero — lecz i teraz męczennik miłości i niepowodzeń nie doznał pożądanego spoczynku, albowiem marzenia, a wcale nieprzyjemne, bo o pożarach, wodach, gadach, nawet umarłych, przerywały mu sen.

Wśród jednego z owych sennych uro-

jeń, zerwał się z posłania, błędnemi po pokoju potoczył oczyma i po chwili przyszedłszy nieco do siebie, a tém samem do panującéj w nim myśli, zawołał służącego, aby mu przygotował suknie.

Wszedł nieśmiałym krokiem Szymon, którego wczoraj obito i zamiast odpowiedzi, z zimną obojętnością, jakby się mścił za odebrane razy, podał swojemu panu arkuszowy stęplowany papier.

— Co to ma znaczyć? zapyta pan Hilary z gniewem.

— Ja nie wiem, odrzekł służący, ja pańskich papierów czytać nie mam prawa, a że kazano oddać je panu, oddaję.

Pan Hilary spojrzał na papier, skrzywił się, w milczeniu przebiegł pismo oczyma i rzucając na stół, rzekł:

— Niech czeka! a to szczególniejsi ludzie; chyba się uwzięli, aby mi dokuczać, a do tego wszyscy na raz! Cze-

go się gapisz?... mówiłem ci, żebyś mi suknie przygotował, potrzebuję wyjść zaraz.

Wolnym krokiem odszedł posępny Szymon, a pan Hilary zaczął po pokoju przechodzić i mówić.

— Ha! trzeba chyba pod nieszczęśliwą rodzić się gwiazdą, aby tyle, i to na raz doświadczać! — Zdradzony od kochanki, ścigany od wierzycieli .. Ah! ta Ludmiła, zdaje mi się, że ona wszystkie na mnie sprowadza nieszczęścia. — Oh! za wszystko jéj odpłacę, powiem jéj, co pewnie przez całe życie nie słyszała. — Ale nie traćmy czasu, trzeba się ubierać i wyjść prędzéj.

To mówiąc pan Hilary, przejrzał się we zwierciadle, a zobaczywszy nieobmytą jeszcze krew na skroni, zawołał:

— Otóż, co poświęcam dla téj kobiety — powiem jéj, powiem wszystko, żem o mało dla niéj nie postradał ży-

cia. — Hej Szymon! suknie. — Chciałbym ją widzieć jak najprędzéj.

Gdy cokolwiek działa się z celem, rzadko widać przewłoki i nasz pan Hilary, mimo zwyczaju przedłużenia toalety, dzisiaj prędzéj się ubrał, jak zwykle i kazawszy przywołać sanki, udał się na *Nowy świat*, do mieszkania Ludmiły.

— Kobieta, którą tém imieniem nazywać będziemy, w jednym z pięknych domów, zajmowała kilka pokoi, ubranych w kosztowne sprzęty. — Wszystko tam, zapowiadało smak i dostatek, a chociaż nia było zbytku, każdego oko jakąś harmonją zadowolić się mogło.

Wchód do jéj mieszkania, był przez oszklone i froterowane wschody. Przedpokój, skromny, ale przyjemny oku.— Na prawo, ogromny salon, w którym wielkie zwierciadła, obrazy, aksamitami kryte sprzęty, dwa, czy trzy posągi, na stołach porozrzucane książki, globy, kar-

ty geograficzne, rysónki, ryciny, w końcu ozdobny fortepian, nadawały mieszkaniu postać przyjemną i uprzedzały na pierwszy rzut oka o usposobieniach młodéj osoby. — Z salonu, widać było mały gabinet, który wytworny smak, zapełnił rozmaitemi cackami wygody, a więcéj zbytku. — W nim, przy oknie, stał stół z rzeźbami, a na nim pełno materyałów piśmiennych, które w najmniejszym szczególe, wytwornością się zalecały. — Kałamarz i piaseczniczka, lichtarze, szyfonierka, pudełka, pieczątki, każda ćwiarka papieru, godnemi były spojrzenia. — Przy stole, stało krzesło w guście gotyckim, z ogromną poręczą, wybite karmazynowym aksamitem w kwiaty, i ozdobne złotemi frenzlami. — W tyle, widać było można modne sofki, ładnego kształtu krzeselka i dwa, albo trzy stoliki pełne figurek, cacek i ozdóbek.

Drugie drzwi z przedpokoju, prowadziły do jadalni, ktora stosownie ubra-

na, miała oddzielnego kształtu kanapy i krzesła i stoły. — Ztamtąd prowadzące drzwi, wychodziły do sypialni pięknéj kobiéty, która zarazem za garderobę służyła. — Pokój ten zawsze zamknięty, nie pozwalał przeniknąć weń ciekawemu oku i dla tego uwalnia nas od opisu — Za pokojem sypialnym, z oddzielnym wchodem, był pokój panny służącéj, drugi zaś dla mężczyzn służących przeznaczony. —

Z saméj powierzchowności, wnosić wypada, że właścicielka mieszkania do modnego, wyższego liczy się towarzystwa. — Wysłane wschody, przed drzwiami skóra niedźwiedzia i szczotki, uprzedzały na piérwsze spojrzenie, że z zawalanemi nogami wejść tam nie można, czuwający zaś w przedpokoju lokaj, dawał do poznania, że jego wprzódy pytać należy, czy pani raczy przyjmować. —

Domysły nasze w tym względzie mają swoję zasadę, nie idzie jednak zatém, aby strojny apartament samych wybranych przyjmował. — Prawda, bywało tu

wiele osób, najwięcéj mężczyn, ale nie wszyscy przyjeżdżali karetami, nie wszystkim lokaj drzwiczki otwierał i nie wszystkich meldował.—

Pan Hilary, znający słabą stronę ludzi salonów, którzy wszystko przebaczą, prócz tego, aby piechotą nie chodzić, zajeżdżał zawsze to dorożkami, to sankami i dzisiaj, jak widzieliśmy nie przepomniał o tém.—

Otóż jest już na wschodach, drżącą ręką dotyka sznurka od dzwonka, pociąga go i w téj chwili drzwi się przed nim otwierają.

— Pani czy przyjmuje? zapyta.

— Dopiéro wstała.

— Jakto! wszak już tak późno.

— Gdzie tam; dopiéro wpół do dziesiątej i nigdy nie wstaje wcześniéj.

— Może strudzona?

— Nie sądzę — odpowiedział lokaj stojąc przy drzwiach, jakby czekał, żeby je za wychodzącym zamknąć.

— Więc widzieć pani nie można?

— Ja tak myślę.—

— A o któréj będzie ubrana?

— Około jedenastéj.—

— Około jedenastéj, powtórzył pan Hilary — Szkoda! chciałbym z nią pomówić, bo mam ważny interes.—

— Nic na to panu nie poradzę.

— Szkoda! szkoda! powtarzał pan Hilary wychodząc i dodał wkońcu: o jedenastéj będę niezawodnie.—

Zaledwie wyszedł Pan Hilary, a lokaj zdołał drzwi za nim zamknąć, aliści z pokoju, który nazywaliśmy sypialnym, lekkim wysunęła się krokiem niewiasta, młoda, wysmukła, brunetka, z rozpuszczonemi włosami i dźwięcznym zapytała głosem:

— A co mu powiedziałeś?

— Że pani dopiero wstała.—

— Czy o nic nie pytał?

— O nic.—

— A kiedy będzie?

— O jedenastéj, mówił że ma bardzo ważny interes.—

— Tegom się spodziewała — Gdyby się pytał, czym wyjeżdżała wczoraj, powiedz, żem była cierpiąca.— Rozumiesz? a jak wyglądał?

— Blady, mizerny i jakieś miał sińce na twarzy.—

— Pokaleczony! oh! Boże, miałżeby go jaki spotkać wypadek?

— Zdaje się, pani, że to tylko stłuczenie.—

— Pamiętaj, żebyś się nie wygadał.— Żal mi biédaka.—

To mówiąc, powróciła do sypialnego pokoju, gdzie panna służąca czesała jéj włosy.—

Potrzebując ukazać na scenie Ludmiłę, ona to była albowiem, musiemy powiedzieć cóś o jéj powierzchowności i wewnętrznych przymiotach, abyśmy mogli dać jakiekolwiek o niéj pojęcie czytelnikowi.—

Mało jest osób, któreby od natury tak hojnie były uposażone, jak młoda kobiéta, którąśmy ukazali przed chwilą — Wysoka

ka, zgrabna, tak proporcyonalnemi mogła poszczycić się częściami ciała, że starożytny artysta mógłby ją użyć za model do zrobienia jednéj z Gracyi; nóżka mała i utoczona, ręka w doskonałym będąca stosunku z całą postawą, a białości alabastrowéj, były nie poślednią jéj ozdobą.— Twarz w profilu rzymska, śnieżnéj białości lekkim powleczona rumieńcem, przy czarnych włosach, które w blasku kruczym nic nie ustępowały piórom, czyniły ją zachwycającą.— Dodajmy do tego oczy czarne, wielkie, prześliczne oczy, gorejące jak dwie pochodnie przy blasku śniegu, oczy które dowoli przybierały wyraz tkliwości, zapału, uniesienia, namiętności i które jakby na zawołanie, kryły się wilgotną pomroką, a będziemy mieli, acz nie dokładny obraz piękności, jaką zaszczycała się Ludmiła.—

Nie dosyć na wdziękach ciała. — Ludmiła miała powaby, któreby najobojętniejszego mężczyznę zachwyciły, pokonały, uczyniły jéj niewolnikiem. — Głos

jej, tak był miły i dźwięczny, że mimowolnie za serce chwytał i że dosyć go było słyszeć, nie widząc nawet osoby, aby jakiegoś przychylnego nie doznać dla niéj uczucia.

Głos ten zastosowany do uczuć, wszystkiego mógł dokazać. — Prozba w ustach Ludmiły téj nabierała mocy, że jéj odmówić było niepodobna. — Opowiadanie jéj, stosownie do jéj woli, wzruszało, przerażało, skłaniało do litości, albo wzniecało zapał. — Znała Ludmiła tę czarowną potęgę i używać jéj umiała.

Umysł jéj wykształcony wiadomościami, wrodzony smak i zamiłowanie sztuk, czyniły jéj rozmowę interessującą, przyjemną, pożądaną. — Całe zaś ułożenie pełne grzeczności, przynęcające, ściągało wszystkie ku niéj spojrzenia, jednało wszystkich serca.

Zwyczajną też było rzeczą, że Ludmiła ilekroć ukazała się w towarzystwie, natychmiast, była obstępowaną przez

tłum młodzieży, obsypywaną grzecznościami i nie było nikogo, ktoby się na nią uskarżał.

Trudno znaleść kobietę, któraby liczniejszemi znajomościami, osobliwie męskiemi poszczycić się mogła. — Ktokolwiek raz tylko był z nią, już był jéj znajomym, poufałym, rzekłbyś kochankiem. — Obojętnych nawet na wdzięki umiała skłonić do siebie; nieśmiałych bez posądzenia jéj o płochość, jedném spojrzeniem natchnęła odwagą, zbliżyła i za serce ujęła. — Dumnych umiała upokorzyć, chociaż pierwszy stawiając krok, zdawała się do nich ręce wyciągać.

Mimo tego wszystkiego, Ludmiła nigdy dla jednego mężczyzny większéj jak dla drugiego, nie okazała grzeczności; wszystkich w przyzwoitém oddaleniu umiała utrzymać i sława jéj była nieposzlakowaną. — Licznych prawda miała wielbicieli, nie jednemu zawrociła głowę, nie w jednym pochlebne wzbudziła nadzieję, ale czy je usprawiedliwić mogli,

czy ona sama czuła cokolwiek, wielka była zagadka, a nawet najwięcéj sobie obiecujący, nie wiemy, czy mogli powiedzieć: cieszymy się wzajemnością.—

Jakkolwiek w kobiécie, rzadko napotykać się daje równie giętki charakter, jak był Ludmiły — umiała wszystko, czego była potrzeba; ubrała twarz, jak wypadało i nikt, nigdy na nią się skarżyć nie miał powodu. — Z równą zdaje się przyjemnością i interessem słuchała opowiadania starego gaduły, odwiecznie prawiącego rzeczy i odpowiedała na nie uśmiechem, jak grzecznych słówek modnego kawalera, unoszącego się nad wdziękami, lub chwalącego sztukę daną w teatrze.— Stara, nawet niedosłysząca babunia, nie mogła się na nią uskarżać, że jéj nie wysłuchała litanii stu, albo więcéj konkurentów, jak równie młoda panienka nie mogła powiedzieć, że Ludmiła była obojętną na piérwsze jéj miłosne westchnienie - kawaler chwalący charty i konie, znalazł z nią przedmiot rozmowy, równie jak

rozprawiający o sztukach; znającego owce, koniczynę i siano, równie zabawiała, jak odgrzebującego pleśnie starożytności.

Zgoła, koło, jakie około siebie tworzyła piękna Ludmiła, było różno barwne, ale zgodne i będące w harmonii, którą ona sama utrzymywać umiała.— Nie dziwmy się więc dla tego, że pan Hilary u piękności tak wysoko wykształconéj umiał zaskarbić względy; miał on albowiem przymioty, które także wyliczyć wypada —

Pochodził on ze znakomitéj rodziny i stan majątkowy ojca pozwalał mu bez obrazy praw towarzyskich, przyznawać się do rodzinnego nazwiska.— Prócz tego, pan Hilary, po ukończeniu szkół w Lublinie, przywieziony był przez ojca do Warszawy w celu zrobienia karyery, zaprezentowany, jako kawaler wysokiego tonu w kilku znakomitych domach, gdzie także poznał Ludmiłę. — Utrzymywany był pierwiastkowo przez ojca na arystokratyczną stopę, to jest: mieszkał w pię-

knym appatramencie, miał lokaja w liberyi i nigdy nie chodził piechotą — Nadto, Pan Hilary do życia arystokratycznego miał z tego względu prawo, że mówił po francuzku, tańcował i umiał mówić o niczém.

Ale dosyć o nim', bo właśnie przybywa.—

Poruszenie dzwonka, przywołało lokaja, który natychmiast drzwi otworzył i zameldował swéj pani przybycie gościa.

Pan Hilary, wczoraj tak się srożący na Ludmiłę, pogłaskał włosy, na twarz przywołał bolesny uśmiech i czekał rychło mu wejść pozwolą.

Lokaj powrócił przez salon, mówiąc.

— Pani prosi, jest w swoim gabinecie.

Lekkim krokiem przesunął się przez salon pan Hilary i zastawszy w gabinecie Ludmiłę, siedzącą przy stole i schyloną nad jakimś papierem, zatrzymał się. — Piękność jakby nie wiedziała, że

ktoś obcy obok niéj się znajduje, wciąż pisała.

Patrzył na nią pan Hilary z zajęciem, bo ranny strój bardzo jéj był do twarzy, jak wszystko, co wzięła na siebie, bo mówiliśmy, że miała smak wytworny i w elegancyi nikt jéj nie przewyższył.

— Przybyłem podziękować pani, odważył się nakoniec przemówić pan Hilary, za wczorajszą zabawę. — W saméj rzeczy, tyle przyjemności napotkać nigdy się nie spodziewałem.

— Ah! to pan, odrzekła Ludmiła, odwracając się ku przybyłemu i kładąc kolorowe pióro, którém pisała. — A cóż to znaczą te sińce na twarzy? zapytała zdumiona — przebacz pan; ale to wprawia mię w niespokojność.

— I to także, odrzecze prawie ze łzami w oczach pan Hilary, i to jest dar, jaki z twéj łaski pani z wdzięcznością i pokorą przyjąć musiałem.

— Pan mię zatrważasz! wykrzykła i

oczy jej nabrały wyrazu przestrachu. — Proszę usiąśdź, proszę mi wszystko opowiedzieć. — Oh! przenikam jakieś nieszczęście; ale wierzaj mi pan, nie chciałam go, nie dałam do niego powodu. — Jakto! miałżebyś pan być obrażonym? panie Hilary, proszę usiąść, tu przy mnie — i wskazała miejsce na sofce, gdzie także i sama usiadła.

Hilary nie mógł przemówić słowa, tak go współubolewanie Ludmiły za serce ujęło — nie siadł, nie postąpił nawet kroku. — Ludmiła mówiła dalej:

— Nie wiem jakie panu trafiło się nieszczęście, nie pojmuję nawet, cobym ja w niem za udział mieć mogła, ale przedewszystkiém, winnam pana przeprosić, że wczoraj nie dotrzymałam słowa.

— W czém takim? zapytał pan Hilary.

— Przyrzekłam być na maskaradzie, gdzie pan mię miałes oczekiwać, a dla

słabości głowy musiałam w domu pozostać.

— Pani nie byłaś? zagadnął niedowierzająco pan Hilary.

— Pan wątpisz?

— Bynajmniéj. — Ale... Więc to nie pani byłaś w owym różowym domino, które wysoki brunet prowadził i przy którem była jakaś niska, maleńka dama.

— Zupełnie o tém nie wiem. — Jeżeli jakiekolwiek masz pan w tym względzie powątpiewania, proszę pytać moich służących, czym nogą wystąpiła z domu? Przyznam się, dość nudno przepędziłam cały wieczór — Siedziałam i czytałam, a książka mię nudziła, bo słyszałam jak Warszawa chuczała na wszystkich ulicach. — Sądziłam nawet, że pan przybywszy na maskaradę i nie zastawszy mię, domyślisz się jakiéj ważnéj przeszkody i żechcesz przybyć do mnie — przecieżby wieczór nie był tak nudny.

Ostatnie wyrazy Ludmiły tak były

wymówione wdzięcznie i czule, że biednemu panu Hilaremu łzy zaświeciły w oczach i rzekł:

— I paniś to myślała?

— Nieinaczéj, mogę pana zapewnić.— Ale czyż nadaremnie mam prosić, abyś usiadł przy mnie? Czy już tak niemiłe jest moje towarzystwo, że nie chesz pan na jednéj sofie usiąść?

— Oh! pani, odrzekł pan Hilary, i postąpił, aby usiąść przy damie swoich myśli.—Ludmila wyciągnęła do niego rękę i rzekła z przymileniem:

— Teraz będziesz pan łaskaw dać mi poznać ową przygodę, którą na wstępie mię powitałeś.— Tém bardziéj mnie ona obchodzi, że pan bolesne nosisz jéj ślady, i że ja mam być jéj powodem.

— Oh! nie, teraz tego nie mówię-- wszystko stało się z powodu mojéj porywczości, przyznaję.

— Jakkolwiek bądź, chcę wiedzieć wszystko i nic przedemną proszę nie

ukrywać. — Ze szczeremi, szczerym być należy.—

— Jestem posłuszny pani, odrzekł pan Hilary i mocny rumieniec wystąpił mu na twarz — przykro mówić o własnych niedorzecznościach; lecz gdy pani każesz i gdy mogę dać dowody mojego poświęcenia...

— Nie rozumiem pana.—

— Bądź pani cierpliwą, wszystko opowiem.

— Lecz przedewszystkiem chciałbym wiedzieć, co pan nazywasz poświęceniem, bo jeżeli nieproszony ująłeś się może za mnie, więcéj z tego mogę ponieść szkody, jak osiągnąć korzyści.—

— Nie byłem tyle szczęśliwy, abym mógł czynnie dowieść pani... Cokolwiek doznałem, pochodziło z mojego nieograniczonego dla pani przywiązania.

— Dziękuję, bardzo dziękuję. — Słucham pana.—

Pan Hilary spojrzał na Ludmiłę, jak

by w jéj oczach, chciał wyczytać, jak przyjmuje jego ofiary i tak zaczął:

— Pragnąc widzieć panią, bo wierzaj mi jedynie dla tego udałem się wczoraj na maskaradę, obiegłem wszystkie sale, galeryą, bufet, każdéj twarzyczce zajrzałem w oczy i prawie do rozpaczy przychodziłem nie mogąc cię nigdzie napotkać. Zniecierpliwiony, znudzony nawet, na szczęście spotkałem mojego znajomego, syna naszych sąsiadów, wyborny chłopiec! *c'est dommage qu'il est un peu mais, entre nous soit dit.*—

Otóż z nim wziąwszy się pod ręce, znowu poczołem obiegać sale, zawsze w nadziei spotkania ciebie pani.— Śliczne domino różowe zwróciło moją uwagę, prowadził je jakiś mężczyzna wysoki i poważny, choć młody jeszcze, towarzyszyła mu zaś mała, zgrabna kobiéta.— Domino to z ułożenia, figury, nawet z głosu, zdawało mi się do pani podobne.— Pojmujesz pani zapewne, że nie odstąpiłem go na krok, że szedłem za nim jak

cień, że każden jego wyraz obchodził mnie najmocniéj.— Mężczyzna od ukrytéj pod maską kobiéty wszelkich doświadczał względów, widziałem ręki ściśnienia, słyszałem wyraz *kocham* i krew ścięła się w moich żyłach.

— A to dla czego?

— Jakto! pani mię pytasz? a gdybyś była pod owém dominem? gdybyś ty pani....

— Gdybym ja nawet, odrzekła z obojętnością Ludmiła, gdybym ja była ową pięknością, za którą pan goniłeś, sądzę że nie miałbyś powodu ani gniewania się, ani tamowania mojéj wolności, ani dyktowania przepisów postępowania.

— Pani mię nie chcesz zrozumiéć, wyjąkał zawstydzony pan Hilary.—

— Oh! i owszem bardzo rozumiem; pan Hilary nieco ma zarozumienia i sądzi, że każda kobiéta która przy nim usiądzie, która z nim rozmawia, jest wyłączną jego własnością.— Co na to, potrzeba mieć

większe prawa, a i ten który ich używa nie zawsze dobrze wychodzi.—

— Jakiż to język o, pani! zawołał pan Hilary zrywając się z sofy, pani mię do rozpaczy przywodzisz, ostatnią odbierasz mi nadzieję.

— Nie dawałam jéj nigdy— spokojnie odpowiedziała Ludmiła.

— Byłem niegdyś szczęśliwy, że twoje usta wyrzekły najmilszy wyraz *kocham*— wierzyłem mu, jak wierzę w niebo i żyłem samą nadzieją szczęścia.—

— Jakże pan jesteś dobrym, odrzekła piękność bawiąc się koronkowym mankietkiem. Nalegałeś, prosiłeś i cóż ci miałam odpowiedzieć? W tym jednym wyrazie, nie widzę żadnego zobowiązania, odpowiadam nim, jak wyrazami tak, lub nie, bo nie czując wstrętu, ani nienawiści nie mam potrzeby ludzi obrażać.— Ze wszystkiemi żyję w zgodzie, ta zgoda tak mi jest przyjemną, że okazanie względów większych dla jednego, jak dla drugiego mężczyzny, musiałoby ważne spro-

wadzić następstwa. — Ale cóż to znaczy to chmurne czoło? przyznam się nie lubię nic podobnego i jeżeli moja szczerość mimowolnie pana obraża, proszę ją uważać za żarty.

— Czemuż mam wierzyć o, pani? zapytał smutnie Hilary — w jednéj chwili strącasz w piekło i do przedsionka nieba wprowadzasz.

— A więc zgoda, proszę siadać. — Bądźmy przyjaciołmi jak dawniéj.

I z takim wyrazem wyciągnęła dłoń do młodzieńca, że trzebaby kamiennego serca, aby nie zadrżało, aby nie biło gwałtownie. — Ucałował śliczną rączkę pan Hilary i usiadł znowu przy Ludmile.

Spojrzała na niego, jakby z litością, uśmiechnęła się i rzekła:

— Cóż daléj z owém różowém dominem?

— Jak mówiłem, odrzekł pan Hilary, sądziłem, że to pani jesteś i dla tego chciałem, się o tém upewnić.

Pobiegłem do jednego z magazynów, wynająłem domino i przybywszy znowu na maskaradę, zaczepiłem ową piękność! — Nakreśliłem jéj twoje imie na dłoni, wymawiała się i musiałem odejść w przekonaniu, że nie ty jesteś. — Szedłem wciąż jednak za ową zgrabną maseczką, któréj głos zdawał mi się do twego podobny, tak miły, tak czarujący. — Jednym razem, mój znajomy, ujrzał rozwiniętą chustkę od nosa u owej damy, zrobił mi uwagę, abym się przyjrzał i poznał cyfry. — Niestety były twoje.

— Moje! to niepojęta — przerwała nagle Ludmiła i oczy na dół spuściła.

— Tak jest, pani. — Po tém odkryciu, postanowiłem dać ci poznać, że ja jestem przy tobie, bo dawniej mnie nie spostrzegałaś, chciałem ci dać zrozumieć, żem słyszał twoją rozmowę z mężczyzną, znam twoje z nim stosunki i wiem jaką mi rolę przeznaczyłaś.

— Ah! jaka zawziętość! ale raz je-

szcze pytam pana, jakie masz prawa ścieśniania mojéj wolności, albo przepisywania sposobu postępowania?

— Przebacz pani. — Byłem szalonym, zapamiętałym, ale przebaczysz mi ze względu...

— Oh! tak rozumiem i przebaczam — jednak na przyszłość, zastrzegam sobie więcéj powolności.

Pan Hilary za całą odpowiedź, poniósł do ust rękę Ludmiły i daléj kończył:

— Jak powiedziałem, zrobiłem postanowienie przekonania się, czy owem dominem ty jesteś pani, chciałem to dać poznać, że wiem i słyszałem twoją z owym mężczyzną rozmowę.

Szedłem i szedłem wciąż za niemi — widziałem nawet, że moja obecność jest im natrętną i że mnie chcą uniknąć. — Przekonałem się o tém niedługo, bo wszystkie trzy osoby, opuściły salę zabaw i pragnęły odjechać do domu — mężczyzna przywołał powóz, nie był on

twoim, ale sądziłem, że należy do niego i że nim odwiezie cię do domu — Wsiadłem wraz z moim przyjacielem w sanki i kazałem pędzić co sił starczyło, aby ci przed twojém mieszkaniem życzyć dobréj nocy.

— Ah! jak pan jesteś złośliwy! przerwała z wyrazem lekkiego wyrzutu Ludmiła.

— Przyznaję, jest to wada, z któréj ty pani chyba mię uleczysz. — Powóz zatrzymał się na *Nowym świecie*, wyskoczyłem z sanek i stanąłem przed twoim domem. — Jadący przed nami ruszyli daléj i wtedy myślałem, że więcéj jak kiedykolwiek, pragniesz nie być poznaną. — Kazałem gonić za odjeżdżającemi i gdy powóz, za Nową drogą, skierował się na prawo, sankarz nieostrożnie uderzył o kamień, przewrócił, i ja potłukłem się okropnie.

— Czy mocno? zagadnęła z wyrazem interessowania Ludmiła. — Bardzo pana żałuję; ale w jego przypadku widzę słu-

szną karę za niegodne mię podejrzenia.

— Przebacz pani jestem upokorzony

— Przebaczam, rzekła spiewnym tonem Ludmiła i podała rękę do pocałowania.

Nastąpiły rozmowy o strojach i zabawach, w których był najsilniejszym pan Hilary: udało mu się kilka patetyczności zwrócić do pięknéj Ludmiły, która przyjęła je, jak zwykłe grzeczności mężczyzn; w końcu, pan Hilary, polecając się pamięci, z rozjaśnioném czołem i promieniejącą nadzieją w duszy, opuścił nadobną Ludmiłę, przyrzekając jak można najrychlejsze odwiedziny.

Gdy tak w nieco lepszym humorze, wychodził pan Hilary z domu, w którym piękna zamieszkiwała Ludmiła; nowy przedmiot zasępił mu czoło, pomięszał myśli, nowe podejrzenie a z nim boleści rzucił w serce nasiona. — Przedmiotem tym, był pojazd piękną parą koni w angielskich zaprzężony szorach, ten sam,

jak mu się zdawało, który wczoraj odwoził *różowe domino.* — Zadrżał pomimowoli; ale tłomaczył sobie, że może jego przywidzenie upatruje podobieństwo i że powozu przy bladém świetle rewerberów dokładnie nie mógł widzieć. — Niespokojność jego wzrosła tém bardziéj, gdy pojazd zatrzymał się przed domem Ludmiły i ten sam mężczyzna, brunet, który prowadził różowe domino, wyskoczył z powozu. — Pomimowoli, nie myśląc nawet, przystanął, zamdlone oczy wlepił w przybyłego mężczyznę i jakaś boleść, rzekłbyś ściśnienie serca, kroku mu postąpić nie pozwoliła.

Mężczyzna wbiegł na wschody, zniknął z oczów pana Hilarego i dłużéj na ulicy zostawać nie było ani stosownem, ani potrzebném.

Szedł ku domowi zwolna i myślił: To niepojęta! Ludmiła zapewniła mię że wczoraj nie wyjeżdżała z domu; tu przecież napotykam mężczyznę, który towarzyszył kobiecie zupełnie do niéj po-

dobnéj. — Być może, to jéj znajomy; wszak ona zna całą Warszawę; ale z kądże to podobieństwo owego domina?... Na honor, w tém jest jakaś, tajemnica.

Pan Hilary ma słuszność — tajemnica — ale nic nie ma ukrytego, coby jawném być nie miało.

ROZDZIAŁ IV.

HISTORYA I WYCHOWANIE MŁODEJ KOBIETY, RZECZ U NAS BARDZO ZWYCZAJNA, DLA TEGO I NIEBARDZO CIEKAWA. KOMU SIĘ NIEPODOBA, ROZDZIAŁ TEN MOŻE OPUŚCIĆ.

Każda piękność, jaka pojawia nam się przed oczy, czy to twór rąk Przedwiecznego Stwórcy, czy dzieło słabego człowieka, ma w sobie tę interessującą stronę, że pragniemy wiedzieć jak powstała, jak wykształciła się i rozwinęła i jakie są jéj przymioty, które nas tak czarują. —

Kobiéta, dzieło rąk Stwórcy, a dzieło tak potrzebne w ogólnéj harmonii świata, do tego kobiéta piękna, zajmująca, która zdaje się na to zesłana, aby rozkosz i szczęście rozlewała w około siebie, godna bliższego poznania i może znajdą się czytelnicy, którzy oprócz wdzięków niedołężnie przez nas skreślonych, zechcą z nami obejrzéć psychologiczną stronę jéj wykształcenia i nie będą się gniewali, że zuchwale niejakie narzucimy uwagi.— Być może, nie mają one swojej zasady, ale są zawsze myślami.

O pięknéj kobiecie, którąśmy chwilowo ukazali na scenie opowiadania, to tylko wiemy, że piękna, nętna, powabna i młodzież lgnie do niéj.— Dla świata, dla ludzi zwyczajnych, którzy nie lubią trudzić głowy, którym dosyć tego co widzą, czasem za wiele co posłyszą, pewnie tego byłoby dosyć; lecz może licha książka wpadnie w ręce jakiéj choćby nie uczonéj ale rozsądnéj i myślącej mat-

ki, jakiego dobrego ojca Chrześcianina, jakiéj młodéj, płochéj, nie doświadczonéj ale nie zepsutéj panienki, w końcu jakiego parafiańskiego młodzieńca, który nie będzie miał zapasu dzieł Eugeniusza Suč, lub Dumasá, który wreszcie dla braku koni nie będzie mógł wizyty oddać i znudzony, bezczynny, nie z przyjemności, ale z potrzeby zajęcia się czemśkolwiek, bazgraniny polskie przeczyta- opowiemy przeszłość téj czarującéj kobiéty, zejdziemy aż do jéj kołyski, lalek, pierwszych myśli i pierwszych uczuć, i będziemy szli za nią trop w trop, aby wniknąć w jéj życie tajemnicze, odgadnąć jéj serce, wyświecić stan duszy i wszystko pokazać na oczy, jawném jasném, widomém, usprawiedliwioném przeszłością i będącem tylko następstwem działań człowieka. Typ, jaki poważamy się nakreślać, jest zwyczajnym, wszędzie prawie napotkać go możemy z małemi różnicami i wyjątkami, a to stosownie do rozwinionych pojęć i zakreślo-

nego kółka działającéj osoby.— Zaczynamy więc:

Ludmiła, owa czarująca piękność powabna, miła, wykształcona, cel myśli wielu młodzieży, ideał niejednego marzyciela, wzór przedstawiony do naśladowania w grzeczności i ułożeniu, których zazdroszczą jéj panny i mężatki, pragną w swoich żonach napotkać małżonkowie, nawet szczęśliwi i kawalerowie kochani, którąby chciał się zaszczycać, bogaty bankier, bawić jaki dygnitarz, opiewać poeta, przelewać na płótno malarz, a którą Bey tunetański dobrzeby także zapłacił, jest pierworodną córką człowieka, który acz nie majątkowy, pokilkakroć dzierżał fortunę w rękach, mógł zrobić majątek i który rozmaitych doznając zmian losu, zawsze szedł za instynktem, a nie rozumem, znajdował powodzenie i wierzy zapewne w szczęśliwą gwiazdę.

Ojciec Ludmiły, jak wielu ludzi jemu podobnych, wznosił się i sam strącał w przepaść.— Na dole, pełzający jak gad, nie

przebierał w środkach dostania się do góry.— Wymowny, pochlebiający, umiejący się wciskać, wtajemniczać w ludzkie czynności, posługiwać nie pytając komu i do czego, w chwilach najwięcéj przykrych wypływał na wierzch i jak wąż nową przywdziawszy skórę, umiał ludzi uwodzić, nagabać, ku swéj naciągać korzyści.

Podobny krokodylowi, który, jak mówią, płacze i rzuca się na swoją ofiarę, tak dla niego role przywdziewać z równą przychodziło łatwością.

Wyniesiony swoją zręcznością do góry i umiejący korzystać z towarzyskiego położenia, świetnością, hojnością, dumą, mazał przeszłe swoje przewinienia, a świat, jak świat, któremu dosyć pozoru, przebaczał.

Ten krótki rys ojca Ludmiły, daje nam poznać mniéj więcéj, jego charakter; o jego duchowem usposobieniu, mówić nie możemy, bo w duszę nie wierzył. — Co zaś do umysłowego ukształcenia, to powiemy na jego zaletę, że mówił po

francuzku, a w czasach pomyślności nigdy inaczéj, tylko tę nieuleczoną miał wadę, że nigdy dobrze rodzajów nie używał. — Co do innych wiadomości i nauk, był zupełnym obskurantem i zastępował je żarcikami, dowcipkami i facecyami. — Jak na porządek towarzyski spoglądał, trudno odgadnąć, to tylko pewna, że wyższych, uważał jako gwiazdy potrzebne do rozjaśnienia ciemności, niższych, jako stworzenia przeznaczone do służenia, tym ziemskim pół-bogom. — Prawda, i on nie raz zstępował na dół, ale nigdy nie był tam długo, a gdyby i na zawsze pozostał, odwoływałby się do praw dawniejszych.

Człowiek znający tylko dwa krańce, rozkazywania i służalstwa, zaślubił kobietę młodą, przystojną, bez myśli, serca, uczuć, mówiącą tylko po francuzku, bez czego możeby się i nie ożenił, istotę giętką, mogącą się duchowo wyciągać i skurczać jak *gummi elastica*. —

Panienka ta, jakkolwiek przystojna i mówiąca *po francuzku*, jak sądzą, dla tego dobrze wychowana, bardzo mały stosónkowo do jego dochodów wniosła posag — że zaś, on wówczas miał powozy (kilka), konie, ekwipaże, ludzi, pieniądze, i żył zbytkownie, znalazła się w roli podrzędnéj i u podobnego jak jéj mąż człowieka, była niczém więcej, jak narzędziem roskoszy.

Dziwne były następstwa téj kobiety. — Całowana, pieszczona w jednéj chwili, w następnéj, znieść musiała wszelkie upokorzenia. — Dzisiaj mając dogodzone wszelkim fantazyom, jutro odmówionem widziała najgwałtowniejszym potrzebom. — Sposób obchodzenia się z nią stosownie do zmiennego humoru małżonka, był, albo nader delikatny, albo grubijański i przechodzący granice wszelkiéj przyzwoitości.

Gdyby to była kobieta z pewnemi zasadami, gdyby w duszy jéj było uczucie godności kobiety, gdyby jéj wy-

chowanie dało poznać co złe, a co dobre, być może, żeby albo stawiła opór, albo ułagodziła męża i wpłynęła na jego charakter, albo w końcu, zwątpiwszy o poprawie, porzuciła; lecz była to młoda osoba, nie myśląca, nie czująca, która za łzy, upokorzenia, widziała się hojnie wynagrodzoną, gdy w pięknym przejeżdżała powozie, gdy modny wdziała kapelusz, świecidło jakie przypięła do głowy, dała u siebie wieczór, na którym w ręce ją całowano, albo gdy mąż kupił jéj szal na imieniny.

Zgoła, piękna i młoda osoba, była podobną psowi na łańcuchu, który znosi niewolę za podłą strawę, jaką mu podają. — Prawda, łańcuch przykuwający tę istotę do męża, był złotym łańcuchem w pierwszych chwilach zamęścia; ale to zawsze łańcuch.

Niech nikt naszego rozumowania nie bierze za przymówkę, bo nikomu zdań nie narzucamy, ale mówiemy, jak myślemy.

Rok małżeńskiego pożycia, dostatecznym był do zatarcia jakiegokolwiek charakteru w młodéj mężatce, jeżeli miała go zaród z natury. — Była to istota, bezwłasnowolna, bez zdania, ładna lalka, strojna maryonetka, którą posuwano i nadawano postawy, jakie przyszły do głowy. — W tym roku, trudno wyliczyć kłótni, zwiedzionych Bóg wie o co, niepodobna wypowiedzieć łez młodéj mężatki, ale nie łatwo także wyliczyć jéj fantazyi, pieszczot męża, bo była jak powiedzieliśmy ładna, a mąż nie ją, lecz roskosz lubił.

Jéj byt na dwie podzielił się części i może była z niego zadowolona, bo jedna połowa była z początku cierpka, a późniéj do niéj zupełnie przywykła, a tą były fontarye męża, głośne krzyki i upokorzenia; druga, była słodka, przyjemna, nagradzająca pierwszą połowę, tą zaś były; ekwipaże, stroje, dostatek czczy blask, które męża nie mało kosztowały summienia, ale to moneta według wie

lu, wyszła już z kursu i żałować jéj nie potrzeba.

Dla człowieka z podobném usposobieniem, jak powiedzieliśmy wyżéj, i dla czczéj kobiety, wielką zmianę w życiu zrządziło, przyjście na świat pierworodnego dziecięcia. — Dziecięciem tém była Ludmiła — urodzona z rodziców zdrowych i silnych, zatem sama kształtna, urodziwa i zdrowa.

Ojciec nie posiadał się z radości znajdując się odrodzonym w dziecięciu, może nie popomyślał o tém, ale instynkt zachowawczy kazał mu kochać swe dziecię. — Miłość jego dla Ludmiły, jak wszelkie jego uczucia i czyny, nie była ujęta w karby rozumu, ale to zawsze była miłość instynktowa, miłość dzikich ludzi, nawet zwierząt drapieżnych.

Matka, jak matka, świat swój widziała w dziecinie, a chociaż nie ze wszystkiém wyrzekła się świata, koni, powozów, błyszczących płatków i czczego blasku dziecina była jéj najdroższą.

Oboje rodzice chociaż czytywali książki, lecz nie wiem, czy znali *Emila* JJ. Rousseau, Huffelanda, albo w końcu, naszego Sniadeckiego; dla tego, nie obwiniamy ich wcale, że najemna mamka karmiła dziecię, że wyzłacana kołyska usypiała je, że powijaki krępowały jego ciało, jak później przesądy skrępować miały ducha. (*a*)

Nie bylo pieszczoty, którąby nie obsypano dziecięcia, nie było wygody, którejby dla niego niezgotowano.— Dla te-

a) Przeciwko używaniu mamek, wyjąwszy nieodzownych potrzeb, jak np. śmierć matki, choroba jéj, lub stan osłabionego zdrowia, wszystko nas uprzedza.

Naprzód, natura wydając na świat istotę, zaopatruje ją zarazem sposobem utrzymania życia, obdarzając matkę pokarmem, który tém jest stosowniejszy dla nieukształconéj jeszcze istoty, że nim żyła w żywocie, że stosownie do sił dziecięcia i pokarm jest więcéj mocny, że jest w zgodzie ze zdrowiem i siłami nowéj istoty.

go, dziecię już w kołysce, znało swoją wszechwładność; nie umiejąc wymawiać, umiało rozkazywać, bo płacz i krzyk poruszał cały dom.

Dzieciństwo Ludmiły, jeżeli dzieci umieją czuć przyjemność rozkazywania i odbieranego posłuszeństwa, było bardzo szczęśliwe.— Cacka, piękne sukienki, zabawy, nęciły wcześnie umysł i cały zajmowały. — Na rękach jeszcze, Ludmiła lubiła złoto, hafty i jedwabie — pokochała je całem sercem i duszą, bo nawet

Powtóre.— Oprócz że mamki szkodliwe są dla zdrowia dziecięcia, z tysiąca trudnych do wyliczenia przyczyn, mianowiciéj zaś z chorób, niedbalstwa, opilstwa, złego prowadzenia się, ale nadto wpływają na przyszły charakter dziecięcia, człowieka, który chociaż niewidzialnie, wyrabia się przecież od samego urodzenia i często zarody złego wynosi jeszcze z kolebki.

Po trzecie. — Dla piękności dziecięcia, a następnie człowieka, ważną jest rzeczą, aby dziecie cierpien nie znało, aby obchodzenie

rodzice prosząc ją, aby była grzeczną, przyrzekali chojne swoje dary.

Dziecię, piękne jak anioł, obstąpione przez liczne sługi, którym zagrażały plagi, gdyby mu w czemkolwiek się sprzeciwiały, zaledwie mogąc wymawiać, czuło się panią samowładną całego domu, sług, rodziców, znajomych i nieznajomych.—

Wiedziało ono zbyt dobrze, że piastunka musi dla niego wszystko uczynić co zechce, bo mama wybije pia-

się z niém, było łagodne, matczyne, czego nigdy najemna mamka niedopełnia. — Bernardin de St. Pierre mowi: Pour rendre les enfants beaux, il faut les rendre heureux au physique, et surtout au moral.

Il faut éloigner d'eux tous les sujets de chagrin, non pas en excitant en eux de dangereuses passions, comme on fait aux enfants gâtés, mais en les empêchant, au contraire, de se livrer avec excès a celles, qui leur sont propres, que la société fait fermenter sams cesse: et surtout en ne leur en inspirant pas de plus

stunkę; mama musi być jéj posłuszną, bo papa okropnie mamę wykrzyczy, a chociaż jak powtarzamy, wymawiać nie umiało, pojmowało z usposobienia głosu chumor i umiało używać swojéj władzy.

Jakkolwiek miłemi są dzieci, osobliwie dla rodziców, podobny samowładca w domu, do tego bezrozumny, wymagający rzeczy niepodobnych i płaczem dobijający się o nie, nie bardzo musi być przyjemnym.

Spora panienka, chodząca dobrze, wy-

fâcheuses, que celles que leur a données la nature, telles que les etudes ennuyeuses et vaines, les emulations, les rivalités etc.

Ta strona, jakkolwiek słaba w naszém przekonaniu, bo więcéj nam chodzi o piękność duszy, jak ciała, powinna znaleść przekonanie u matek, dbałych, aby ich dzieci były pięknemi.

Po czwarte. — Licznemi lekarskiemi dziełami dowiedziono, jak wiele chorób cierpią matki, które własnemi nie karmiły piersiami.

mawiająca doskonale, milutka, zgrabna, była bożyszczem rodziców. — Bożyszczem w całem znaczeniu tego wyrazu, bo chwalono jéj piękność, wysławiano mądrość, całowano po nogach i o mało nie postawiono dla niéj ołtarza.

Nie dziw, że dziewczyna zakochała się sama w sobie, że na inne dzieci patrzéć nie chciała, że osoba mniéj ozdobnie ubrana przestraszała ją, że ubogi był dla niéj straszydłem, którem ją w rzeczy saméj gdy płakała, trwożono; że w jéj

Piąte. — Dziecię podziela swoją miłość, albo raczéj przywiązanie, pomiędzy matkę, która dała mu życie, i mamkę, która go karmi swemi piersiami — co gorsza nawet, matka dla niego jest obojętną i zwyczajnie widzieć się daje, że cichnie na głos mamki rozpłakane i wydziera się z rąk matki chociaż pieszczone, do téj, która chociaż najemnie, ale go karmi. — J. J. Rousseau mówi w tym względzie: De cet avantage (użycia mamek) même résulte un inconvenient, qui seul devrait ôter à toute femme sensible le courage de

małéj główce wyrobiło się dziwne pojęcie wartości człowieka z jego sukni, że pokochała zbytek i ozdoby, a drżała na samo wspomnienie siermięgi i ubóstwa.

Rodzice w owém usposobieniu, które rozsądek potępia, rozmiłowali się, pomagali jego rozwinięciu, cieszyli się i mówili: to dziecko wyraźnie na panią stworzone!

Śmiesznie było patrzéć, jak owa dziecina, zaledwie odrosła od ziemi, a pełna chęci podobania się, z prawdziwą na-

faire nourrir son enfant par une autre: c'est celui de partager le droit de mère, ou plutôt de l'aliéner; de voir son enfant aimer une autre femme autant et plus qu'elle; de sentir que la tendresse qu'il conserve pour sa propre mère, est une grace, et que celle qu'il a pour sa mère adoptive, est un devoir: — car, ou j'ai trouvé les soins d'une mère, ne dois-je pas l'attachement d'un fils?

Nakoniec, dla mężów pragnących szczęścia domowego, umniejszenia wydatków i osiągnienia innych korzyści, rzecz bardzo wa-

miętnością całe godziny przepędzała w zwierciadle, jak dziwne robiła miny, po kolei w różne przystrajała się płatki i sama siebie nazywała piękną panią.

Jak Rousseau mówi: dzieci nie potrzeba wychowywać do szczęścia, bo pomyślność z natury swojéj jest tak dobra, że każdemu sercu przystanie, każdemu usposobieniu wystarczy; ale ich charakter kształcić należy na niepowodzenia i przeciwności, aby w nich nie upadły i umiały sobie radzić. — Prawdy téj

żna, aby matki same karmiły, choć z tego względu, że więcéj zamiłowywują dom, oddalają się od świata, od jego zabaw i czczych uciech, bo jak mówi J. J. Rousseau: L'attrait de la vie domestique est le meilleur contre-poison des mauvaises moeurs. Le tracas des enfants, qu'on croit importun, devient agréable: il rend le père et la mère plus necessaires, plus chers l'un à l'autre: il resserre entre eux le lien conjugal.

Tyle i tak ważnych powodów, powinnyby raz przekonać matki i ojców, jak wiele

nie pojmowali rodzice Ludmiły, nie wiedzieli może o niéj, a chociażby wiedzieli; mało jest ludzi, którzyby przyszłość w posępnych barwach chcieli przeglądać. — Marzyli oni, że ich dziecię będzie wielką panią, szczęśliwą, a szczęście to, jak sami mieli o niém pojęcie, zasadzali na karetach, koniach, sukniach, srebrach, salonach i zabawach, któreby wychwalano.

Aby więc swoje dzieło jak najprędzéj przywieść do skutku, wszelkich nie szczędzili kosztów i usiłowań. — Za dzie-

złego przyspaża używanie mamek, a ile korzyści przynosi karmienie własnemi piersiami.

Używanie powijaków, żadnéj nie przynosi korzyści, a liczne złe sprowadza następstwa na stan zdrowia dziecięcia: mianowiciéj zaś wstrzymuje wolny bieg krwi, nie dozwala dziecięciu nabierać sił, rosnąć i przyzwyczajać się do używania członkow. — Zwyczaj ten, jak mówi Rousseau, poszedł zląd, że mniéj dbale matki, lub mamki, chcąc zaoszczędzić sobie pracy, w czuwaniu nad

cięciem włóczyła się bona francuzka, która je paplać uczyła, tancmistrz wykrzywiał jéj słabe nożyny, co dziewczyna dla podobania się cierpliwie znosiła, metr muzyki wyłamywał jéj palce na fortepianie, a magazyny mód przesadzały się na rozmaitego fasonu sznurówki.

Nauka, a nauka pozorna, dla świata, nie dla własnego szczęścia, chociaż nie raz utrudziła dziecinę, znosiła ją, bo była wynagrodzoną nową sukienką, nową salopką, trzewiczkami, perełkami, albo

dziecięciem, skrępowały je i kosztem przyszłego zdrowia, chroniły wypadku wylecenia z łóżka, albo kołyski.

Kołysanie dzieci równie jak powijanie, nie przynosi korzyści, ale złe zrządza — jest to środek jak mówią uspokojenia dziecięcia i prędszego usposobienia do snu. — Dziękujemy przecież za sztuczne sposoby, które dają złe nawyknienia i na zdrowie wpływają.

Oprócz wymienionych przyczyn, które zwalczają dzisiejszy, upowszechniony i prze-

jakiém świecidełkiem, w braku zaś tych przedmiotów, wzbudzeniem emulacyi, aby ją jaka Kamilka, Emilka, Lucyna nie wyprzedziła.

Skutkował niewinny na pozór środek; Ludmiła nie cierpiała, aby ją ktokolwiek zaćmił i wszystko, cokolwiek mogło ją pochwałami obsypać, było jéj pragnieniem i żądzą.

W tym względzie, nie obwiniamy rodziców Ludmiły, postępowali oni jak wszyscy ojcowie i matki, którzy emulacyą wi-

sądami zakorzeniony sposób wychowywania dzieci, niech nam wolno będzię przytoczyć przykład zupełnie przeciwnego wychowania, z najpomyślniejszym dokonany skutkiem.

W roku 1841, będąc na Wołyniu. w domu nie zbyt zamożnego, ale rozsądnego człowieka, miałem sposobność widzieć chłopca czteroletniego, który swojém zdrowiem, siłą, spokojnością, a nadewszystko cierpliwością gdy mu matka z ręki wyjmowała drzazgę,

dzą konieczną w naukach; ale poważamy się zrobić uwagę, że emulacya bardzo jest blisko spowinowaconą z zazdrością, która ani jest ozdobą serca, ani zapewnia szczęścia, ani jest pożądaną w towarzystwie. Zazdrość jest namiętnością, a téj obudzać wcześnie nie należy, bo ona sama przyjdzie i w owéj jeszcze porze, stłumiać ją wszelkiemi siłami należy.

Inny środek, równie powszechnie przez rodziców i nauczycieli używany dla zachęcenia młodzieży do nauki, jest wy-

(rzecz przykra i dla dorosłych nawet bolesna), zwrócił moją uwagę.

Trudno się było nadziwić owemu dziecku — znosiło zimno i gorąco bez płaczu i narzekania, ból zdaje się nie miał siły nad niém, dosyć było jednego wyrazu przekonania, aby mu zupełnie było posłuszne.

Słusznie oddane pochwały dziecięciu, podniosły dumę ojca, który mi rzekł:

— To moje dzieło i nie mam potrzeby wstydzić się za wychowanie dzieciaka, co jeżeli mi Bóg podług myśli dopełnić po-

stawianie korzyści, jakie ma przynieść nauka. — Gdyby tę korzyść dobrze naprzód pojmowali rodzice, lub nauczyciele, mogliby jakikolwiek korzystny wpływ wywierać; gdyby następnie, w słabych dziecinnych głowach, czystość téj korzyści mogła wyrobić sobie pojęcie, niechajby prawiono sobie dowoli; lecz rzadko, aby ojciec, matka, często nawet książkowy pan nauczyciel, lub nauczycielka, pojmowali nie tylko cel nauki, ale nawet cel stworzenia człowieka; korzyść

zwoli, mogę powiedzieć: wychowałem człowieka. — Tak, mówię wychowałem. — Muszę panu wszystko opowiedzieć, bo chociaż to rzecz zupełnie nie nowa, ale w praktyce, napotkać mi się jéj nie zdarzyło.

Przed owém dziecięciem, Pan Bóg obdarował mię trzema innemi, które w skutku niedbalstwa mamek, albo piastunek, poumiarały. — Bolesna to dla ojca utracić dziecię, tracić zaś troje, jedno po drugiém, to nawet i na sumnieniu coś cięży.

Otóż gdy moja żona powiła owego chłop-

jaką sami chcieli ze swoich usposobień i pracy osiągnąć, była czysto materyalna; dla tego, pojęcia ich zawsze nurzają się w kałużach świetności i blasku, że gdy mówią dziecięciu, ucz się, to ci się przyda, z tego możesz mieć korzyść, to ma znaczyć: chłopcze, kiedy to i to będziesz umiał, możesz być kiedyś wielkim panem, wodzem, ministrem, biskupem, możesz się bogato ożenić, zrobić wielki majątek, mieć władzę i znaczenie. Albo: dziewczyno, kiedy to i to będziesz

ca, którego pan widzisz przed sobą, postanowiłem zająć się jego wychowaniem od piersi zaraz, w sposób, jaki najwięcéj trafiał do mego przekonania i który w wielu dziełach możesz pan znaleść.

Powiedziałem żonie: musisz karmić dziecię, bo nie wierzę w to, aby natura pozwalając wydać na świat istotę, nie usposobiła zarazem matki do wykarmienia jéj.

Pomimo krzyku akuszerki, bab i doradczyń, których nigdy nie zbywa, pomimo na-

umiała, pójdziesz bogato za mąż, młodzież będzie ci biła pokłony, będziesz panią, chwaloną, uwielbianą, sławną.

Liczne zapewne mogą mię spotkać zarzuty, że dzieci potrzebują zachęty do nauki; zgadzam się na to. — Ale czyż większéj nad wszystkie, rozsądny ojciec, matka, nauczyciel lub nauczycielka, wynaleść nie mogą w wykazaniu potrzeby i korzyści nie idealnéj, ale dotykalnéj, snadnéj do pojęcia, która dziecięcia nie wprawia ani w zarozumienie, ani w du-

wet przełożeń żony, wzbroniłem powijania i kołysek — kazałem zrobić łóżeczko z wysuwającą się ścianą, tak, aby matka schylona, mogła bez brania na ręce dziecięcia, nakarmić je. — Oprócz do kąpieli, wzbroniłem podnosić dziecię, na każde zakwilenie jego, pilnowałem aby matka do niego przychodziła, bo od kolebki chciałem przyuczyć je, aby widziało cokolwiek się dzieje około niego, dzieje się z potrzeby, a nie z fantazyi.

Gdy dziecię pomimo przybycia matki, kwi-

mę, ani w szalone i urojone marzenia; ale wpływając na umysł i serce, usposabia zarazem do przyniesienia owoców swojéj pracy ludzkości, pokochania jéj i do uczynienia nauki zajmującą, przystępną i łatwą.

Naprzykład: Gdy dziecię stawiemy w potrzebie wynalezienia kierunku i położenia dwóch miejsc i gdy ono samo je nakreśli; pozna potrzebę kart geograficznych i nauczywszy się je robić, zarazem damy poznać ich użyteczność. — Gdy

liło, domyślałem się, że jest cierpiące i stosowne w tym celu przedsiębrałem środki.

Tym sposobem, od saméj kolebki, przyuczyłem dziecię, być cierpliwém i ten przymiot możesz pan w niém napotkać. — Nigdy nie płacze, bo wie, że płacz nic mu nie pomoże.

Jak z początku, żona moja sprzeciwiała się sposobowi mojego wychowania, tak późniéj sama przychodziła mi w pomoc znajdując wychowanie mniéj kłopotliwém, dziecię zdrowém i dobrém.

suchą naukę geometryi, która wprzód głowy natrudzi, nim damy poznać jéj potrzebę i użyteczność, wprowadziemy w natychmiastną praktykę i doświadczeniem, że tak rzekę, uczyć będziemy teoryi.— Gdy na kawałku kija damy poznać potrzebę i teoryą szalek. Gdy w kąpieli letniéj, wyłożemy teoryą ciężkości ciał i t. d.

Podobnych sposobności rozsądnemu nauczycielowi nigdy nie braknie; potrzeba tylko, aby z nich umiał wychodzić,

Jak tylko siły dziecięcia pozwalały, kazałem je puszczać na podłogę; tam bawiło się, balykowało i bez pasków i piastunek, nauczyło chodzić.

W dalszym mojem postępowaniu téj saméj trzymać się będę zasady, aby dziecię nie znało nic oprócz potrzeby. — Potrzeba ma mu rozkazywać, a nie przywidzenia, potrzebie musi być posłuszny, a posłuszny bez obudzenia gniewu i złości.

(P. A.)

ułatwiał pojęcia, a nie dowodził, bo rezonowania nikną bez przekonania. — Zgoła, w wychowaniu, byłoby pożądaném, aby wszystko cokolwiek się czyni, czyniło się z potrzeby, aby unikać czczych słów i nauczać czynami. — Sposób ten najpożądańsze przyniosłby owoce, tak we względzie umysłowego, jak moralnego wykształcenia. — Ale wróćmy do Ludmiły.

Wychowanie, jakie troskliwi dawali rodzice obfity i wcześnie przynosiło plon.

Piękna Ludmiła mówiła płynnie po francuzku, mówiła zaś z dźwiękiem i często się odzywała, że swoim językiem nie tak dobrze jest mówić jak obcym, tańcowała zgrabnie i zwykle służyła rodzicom za przedmiot chełpliwości, albowiem ilekroć byli goście, panienka popisywała się, matki chwaliły przez zęby, spoglądały na swoje mniéj zgrabne dzieci i jakaś ukryta opanowywała je zawiść. — Na fortepianie, umiała także nie mało i inne matki okazywały ją za wzór swoim córkom.

W dziewiątym roku życia, Ludmiła

wiele posiadała talentów; zawsze pieścioszka ojca i matki, bo umiała im się podobać czyniąc wszystko jak chcieli, bo zapomnieliśmy powiedzieć, że ojciec albo matka, ilekroć dziewczyna była słabą, a może miała jakie dziecinne udręczenia, kazali jéj się uśmiechać, udawać co w sercu nie czuła, nosić wcześnie na sobie maskę i to zwyczajnie czemś nagradzali.

Zachęcona panienka korzyściami tak umiała układać twarzyczkę, tak łagodzić dziecinny głosek, tak się przymilać i wdzięczyć, że od ojca, matki, znajomych i przyjaciół rodziców wszystko wyjednać potrafiła, co chciała.

Zaiste! przyjemne bardzo było jéj ułożenie, podobało się oku, świat je pochwalał i wielu do naśladowania za wzór podawało; przecież ktokolwiek bliżéj chciał zajrzéć, kto bliższym był domu rodziców Ludmiły, ten odmiennego był zdania; równie jak dzisiaj gdy Ludmiła czaruje swojemi wdziękami i przy-

miotami mniéj ją znających, bliżéj z nią mających stosunki, nie mało kosztowała boleści.

W dwunastym roku życia, Ludmiła była panną zupełną, to jest: dojrzałą fizycznie, zbogaconą talentami, ujmującą, piękną, prowadzoną na bale, otoczoną młodzieżą i mama mówiła że ma lat piętnaście.

Niepojętą rzeczą zkąd i dla czego ta chęć w rodzicach, aby gdy ich dzieci wychodzą z dzieciństwa, dojrzały im wiek przypisywać? — Jeżeli nam, jako bezdzietnym, wolno odgadywać rodzicielskie tajniki, sądzilibyśmy, że dlatego, aby prędzéj swe marzenia o dzieciach w rzeczywistości zobaczyć. — Rzecz tym sposobem usprawiedliwiona; ale ani wyrozumowana, ani zapewniająca dzieciom szczęścia, ani będąca zakładem ziszczenia świetnych nadziei. *(b)*

b) Dojrzałość niewieścia, w dwunastu leciech, jak na nasz więcéj zimny, jak umiarkowa-

Dwunastoletnia panienka, wcześnie dojrzała, od kolebki ujęta w więzy przymusu i umiejąca takowy na swoją korzyść obracać, talentami, ułożeniem, wiadomościami, samą nawet powagą, kazała się uważać za dojrzałą panienkę, której prawo towarzystwa otwiera wrota życia, miłości, zabaw; zgoła cały urok zwodniczego świata.

Kilka na los podanych do rąk francuzkich romansów, rozpłomieniły pałające już serce i wyrobiły to pojęcie

ny klimat, zdaje się być przedwczesną. — Przecież liczne tego przykłady widzieć możemy, mianowiciéj w miastach, gdzie tyle różnych przedmiotów, przyśpiesza życie człowieka.

Przedwczesna ta dojrzałość tak we względzie fizycznym, jak moralnym nader jest szkodliwą. — A naprzód: sztuczny wzrost i rozwinięcie się, z przyśpieszeniem trawiących namiętności, szkodliwie muszą wpływać na stan organiczny istoty i na dokła-

w dziewczynie, że miłość jest celem życia, że ona sama zapełnia czczość serca, że ją pozyskać jedyném powinno być pragnieniem.

Uczucie tak wrodzone i naturalne nie pozostało przecież w obrębie skromnych sielankowych kochanków. Ludmiła marzyła miłość, ale mężczyzna do którego wzdychała, powinien być piękny jak Apollo, z puszczającym się dopiero zarostem, równie jak bożek pełen estetycznych talentów, a do tego, możny, bogaty, świe-

dne rozwinięcie się jéj członków, jak niemniéj władz umysłowych.

Powtóre, wcześnie rozpalona wyobraźnia odrywając młode jeszcze dziecię od przedmiotów rzeczywistych, a wprowadzając ją w kraj marzenia, wyradza dziwne uczucia i myśli, które rzadko znajdując oddźwięk w społeczeństwie, trawią fizycznie i moralnie.

Po trzecie. — Czas odgraniczający dzieciństwo od dojrzałości, jest najdroższym i najsposobniejszym do wykształcenia tak du-

tniejący, aby ją mógł ubierać w dyamenty i perły i aby ona w kryształowym mieszkając pałacu jak zaczarowana wyglądała księżniczka. Czasem, niekiedy, stosownie jakie dzieło czytała, zabłąkał się w jéj głowie jaki rycerz, walczący dla kochanki, ginący dla niéj i w korzyści na martwe skronie zyskujący wieniec z jéj ręki. Pragnęłaby takiego; ale żeby pierwszego także połączał przymioty.

Zaiste! takich Fenixów w rzeczywistym świecie trudno napotkać; tymcza-

chowego, jak równie fizycznego: trzeba z niego umieć korzystać i robić w nim zapasy na przyszłość. — Jest to czas w którym ma się za wiele sił w stosunku potrzeb i dziecię silne jak mówi JJ. Rousseau w swoim Emilu, powinno gromadzać zasoby dla słabego człowieka: „zasobów tych nie zamknie ani w śpichlerzach, ani skrzyniach, bo tych jego umysł silny użytku pojąć nie może i nie powinien, ale jako prawdziwy nabytek, zachować w rękach i głowie. — Otóż

sem serce gwałtownie dopominało się praw swoich i trzeba je było nasycić.

Nie wyrzekając się zupełnie stworzonego przez siebie kochanka, Ludmiła wpół oddała serce młodzieńcowi mającemu bardzo regularne rysy twarzy, żywe czarne oczy, czułe serce i acz nie wielki, dostateczny majątek.

Młodzieniec ten, którego imie Władysław, jeszcze zupełnie nie skończywszy nauk, lecz wcześnie wdzierający się w towarzystwa, nieśmiały, rumieniący się na

czas pracy, kształcenia się, nauki — czas ten nie ja, ale sama natura wyznacza."

Czas ten, powtarzamy, jest tém droższy, że nader jest krótki, nie powraca nigdy i nie ma może człowieka, któryby go nie żałował.

Czas dojrzałości, jest chwilą przejścia, krótko trwałą, a wpływy jego na całém dają się czuć życiu.

Jak ryk morza, mówi JJ. Rousseau, poprzedza burzę, tak owa zmiana objawia się wybuchem namiętności. — Stłumiane wzbu-

samo wspomnienie miłości, w sercu Ludmiły sądził, że niebo już znalazł.— Z całym zapałem młodzieńca, z całą gorączkową wyobraźnią, ukochał swój przedmiot. Skryte jego uczucia wrzały mu w piersiach, wyrywały się westchnieniami rozstroiły jego organizm, uczyniły niezdolnym do pracy marzycielem i rzekłbyś wpół-obłąkanym urojeńcem.

Na tyle zapału, Ludmiła obojętnemi odpowiadała uśmiechami; Władysława nazywała dobrym chłopcem, mówiła że

rzenie objawia bliskie niebezpieczeństwo.— Zmiana humoru, częste uniesienia, ustawiczna ruchliwość umysłu, czynią dziecię trudnem do utrzymania.— Głuchnie na głos, któremu było posłuszne; jest to lew rozjuszony, który nie poznaje swojego pana i nie chce mu więcéj ulegać.

Jak przed chwilą dojrzałości, usposobienia i powierzchowność wspólne były obudwu płciom, tak teraz każda przybiera swoje właściwe cechy i piętna.

go lubi i w rzeczy saméj lubiła z potrzeby; ale w każdéj chwili gotową była zmienić go na innego, któryby wszystkie pozorne, a urojone, przez nią posiadał przymioty.

Wszystko to, co mówiemy, było w duszy Ludmiły, nikt przecież tego, chyba zaufana mama, nie wiedział, a pan Władysław cieszył się zupełną wzajemnością.

Listy, bileciki, tajne schadzki, acz nader skromne, bo młodzieniec w kochance widział anioła, wszystkie dowody

(Różnice te doskonale Virey w Historyi rodu ludzkiego wyłożył).

Jest to, jak mówi JJ. Rousseau drugie narodzenie się człowieka, jest to chwila wzięcia prawdziwego życia, w któréj wszystko ludzkie jest przystępném, znajomém, pojętném.

Czas w którym się budzą namiętności, jeszcze raz powtarzamy, jest nader ważnym całą nań baczność zwracać potrzeba: bo od niego przyszłe szczęście, albo nieszczęście zawisło.

miłości i przywiązania czarowały Władysława. Swiat jego zamknął się tylko w Ludmile, myśli jego krążyły w około niéj jak zaczarowane, serce biło tylko dla niéj i celem życia była tylko ona.

Po dwuletniém szczęściu, jakiego we wzajemnéj doświadczał miłości, okoliczności majątkowe i familijne wywoływały młodzieńca ze stolicy. Ze łzami w oczach, z boleścią w sercu, jakiemś

Nie myślemy tutaj podawać zamiaru wykorzenienia namiętności, bo śmiesznemby było brać w kontrollę naturę, a tém samém buntowniczem przekształcać dzieło Boga, w którem samą widziemy doskonałość; poważamy się tylko zrobić uwagę, że skierować je ku dobremu należy i nie pozwalać, aby podniecane, gwałtownie wybuchać miały.

Chwila dojrzałości jest najstosowniejszą porą w naszém przekonaniu, do zaszczepienia zasad moralności, do wykształcenia talentów i do rozwinięcia umysłu.

(P. A.)

smutném w duszy przeczuciem, pożegnał kochankę przyrzekając żyć tylko dla niéj, myśléć tylko o niéj i powracać, jak można najprędzéj.

Przy odjeździe płakała także Ludmiła, a była czarująca, już wyrosła, pięknéj figurki, ślicznego ułożenia i mająca rok piętnasty. — Była to właśnie chwila, w któréj zwyczajnie rodzice, rozwijający się pączek ukazują na świat, który nęci oko, czaruje zmysły i jest dla zużytego serca jakby ochłodą.

Zwyczajnie w tym wieku, panienka spogląda nieśmiało, rumieni się nader często, kryjomo wzdycha, czegoś pragnie, jest niespokojna, dla tego często mniéj taktyczna, mniéj używająca środków podobania się, a więcej naturalna i miła.

Ludmiła zupełnie nie miała tych młodocianych niewinności typów; oddawna myśl jéj oswoiła się z kochankiem, miłością, ze światem, z jego cnotami i wadami. — Mówiła o tém wszystkiem jak doświadczona, patrzyła śmiało i w piętna-

stym roku, wziąć ją było można za dwudziestoletnią pannę.

Czy dla pocieszenia się po wyjeździe kochanka, czy też dla tego że rodzice kazali, piękna Ludmiła drugiego dnia, była na tańcującym wieczorze. Było tam kilku młodzieży, pomiędzy którymi młody, przystojny, wysoki ułan, oficer.

Piękna i młoda panienka zaraz na pierwsze wejrzenie zwróciła uwagę wojaka, patrzył w nią jak w tęczę, a ona to spuszczała oczy, to niekiedy z boku odstrzeliła spojrzeniem, ale takiém, za jakie często życieby się oddało.

Siadła do fortepianu — Martwe drewno pod śliczną jéj ręką zabrzmiało cudowną harmonją, a głos jéj dziewiczy i giętki rozległ się po obszernym salonie. Ułan jest znowu przy niéj, patrzy w nią ustawicznie, oczy mu goreją, twarz cała promienieje i oko wprawne odgadnąć może, że w niéj jest zakochany. Przemówił do niéj, ale drżącym głosem, spuścił oczy i czeka jednego od niej wyra-

zu. — Wymówiła go, a dźwięk jéj głosu, odbił się w duszy żołnierza jak wspomnienie krwawéj bitwy, z któréj wyszedł zwycięzko.

Rozpoczęto tańce. — Młody oficer zawsze z Ludmiłą jest w parze, zawsze przy niéj ściska jéj rękę, mówi stłumionym głosem, a ona mu podobnym odpowiada.

Oprócz ułana, obecnéj młodzieży także zwracają się na nią spojrzenia; ona odpowiada im uśmiechami, grzecznością, jednym wyrazem, spojrzeniem; ale we wszystkiém widać, że nie odbiéra nadziei, że zachęca do zbliżenia się, poznania — zakochania nakoniec. — Nie w jednym wrze chęć, aby być przy niéj, aby z nią tańcząc położyć rękę na jej boku, aby jéj tchnieniem odetchnąć, uczuć jej rękę w swéj dłoni. Na nieszczęście ułan jéj nie opuszcza, a trudno go od niéj oddalić, trudno być niegrzecznym, otwartą rozpocząć wojnę!

Matka Ludmiły widząc tę walkę spoj-

rzeń, to zaniedbanie innych panienek, cała płonie radością, oczy jéj z dumą zwracają się to na córkę, to na młodzież i o mało nie powie: to ja jéj matką!

I ojciec równych doznaje uczuć; ale nie umiejący sobie panować, przechodzi od młodzieńca do młodzieńca, aby mu chwalono córkę, unosi się nad jéj przymiotami, wychwala talenta i o mało ceny jéj nie wymieni. Niedosyć, prawie po każdym tańcu, idzie upominać ją, aby zakryła gors unikając zaziębienia i całując w rękę, z dumą odchodzi.

Goście rozjeżdżają się do domów. — Ułan wsadza do powozu Ludmiłę, poleca się ojcu i matce, jest od nich zaproszony, co potwierdza spojrzeniami Ludmiła.

Miałażby tak młoda panienka być niestałą? zapyta czytelnik. — Bynajmniéj — bynajmniéj. — Nie kocha ona żołnierza jak nie kochała Władysława. — Bawi się niemi i nic więcéj.

Przecież piękna Ludmiła myśli wciąż

o nim, jego obraz stawa jéj przed oczyma nim usypia, często we śnie mięsza jéj spoczynek i gdy się przebudzi, widzi go także przed sobą; ta myśl o miłym przedmiocie, to pragnienie ujrzenia go nie jestże miłością? Nie umiemy nic na to odpowiedzieć.— To przecież pewna, że młody officer ziszcza część jéj marzeń, a więcéj niż Władysław, bo jest młody, przystojny, nosi szablę przy boku i mówią o wielkim jego majątku. Sam ojciec Ludmiły mówi o tém, a jest to widać dla niego najważniejszy przymiot w człowieku, bo wszystkie pominąwszy wady, samą nawet sromotę, ten wyraz wymawia dobitnie, z przyciskiem, ze znaczeniem, jakby chciał dać poznać, wszystko nie warto wspomnienia, prócz pieniędzy!

Zapomnieliśmy powiedzieć czytelnikom, że rodzice Ludmiły, obok niéj liczne mieli potomstwo, wszystkie prawie, z małym wyjątkiem jednostki, jéj płci i jak ona, na tych samych wychowane zasadach. — Klara, Justyna, Konegunda,

Klotylda i Pulcherya, rodzone jéj siostry, raz pieszczone, drugi raz znoszące udręczenia, bo nie tyle piękne co ona i nie tyle układne; każda z nich, oddzielny, swój własny miała typ, zawsze przecież ten, aby być panią, rozkazywać i wielką sobie uścielać przyszłość. — Dzieciaki jeszcze, snuły pajęczą sieć uroczych swoich marzeń, ku spełnieniu których, znajdowały w sobie zasoby. — Charakter ich na tym samym tle rozwinięty jak Ludmiły, przedstawiał przecież odcienia, a to stosownie do miłości jaką ich darzyli rodzice, stosownie do mniéj, albo więcéj fantazyi i zawiśle od ich urody. — Wszystkie z nich miały jedne cele, różnemi jednak dążyły do nich sposobami, a to stosownie do swoich sił i do środków, jakie im podawano.

I tak: Klara, wysmukła, smagła, ale mająca niekształtne rysy twarzy i dla tego wiecznie przez matkę nazywana potworą, była karmioną okruszynami miłości rodzicielskiéj, tém, co ze stołu biesia-

dy siostr na nią upaść raczyło. — Im wolno wszystko, jéj nic — im piękne stroje, ozdoby, świecidła, jéj brudne nie raz sukienki, chłodne nawet odzienie. — dla nich zabawy, uciechy; dla niéj dom, kącik, ustronie; dla nich serce rodziców, pochwały, zachęcenia, pieszczoty, dla niéj groźby, łajania, zniechęcenie, często przekleństwa i razy bez przyczyny, niezasłużone, ale obdzielane, stosownie do mniéj, albo więcéj złego humoru.

Snadny bardzo wniosek, że z dzikiego postępowania rodziców, dziwny w dziewczynie zaszczepić się musiał charakter.— Widząc starszą siostrę, obsypywaną pieszczotami, siebie zaś zapomnianą, wzgardzoną, nienawidzoną nawet, jakkolwiek nierozumująca, uczuwała całą niesprawiedliwość, oburzała się na nią, i jeżeli jeszcze nienawidziła rodzicow, nie miała owego przywiązania, którém dzieci opłacają rozumną miłość, macierzyńską troskliwość i owe czułe poświęcenia. — Jak obojętna dla rodziców, nie mogła ko-

chać starszéj siostry, którą miała przed oczyma pieszczoną, opatrzoną nie tylko w potrzeby, ale zbytek, rzadko zbliżała się do niéj, a i to w celu pozyskania czegoś za jéj pomocą, co wyjednywała chwaląc ją, całując, albo przyrzekając niezachwianą dla niéj miłość.

Patrząc na jéj obłudne postępowanie, z dziecka snadnie wywieść było można tę prawdę, że niesprawiedliwość czyni ludzi złemi, że wytyka drogę zepsucia i podaje tysiące niegodziwych środków.

Klara, jakkolwiek jeszcze małą była panienką, miała w sobie zarody wszystkich wad kobiecych, których nasiona złe wychowanie rzuciło. — Chytra, przebiegła, fałszywa, uparta, zimna, nieczuła, złośliwa, naginała się we wszystkie strony, jak kazały okoliczności i jak nie raz przykre jéj wymagało położenie.

Justyna, nieco podobna do Ludmiły, miłość rodziców, w drugim posiadała rzędzie — była ona równie jak pier-

wsza, przedmiotem ich marzeń i nadziei.

Kunegunda, twarzy drobnéj, ośmioletnia panienka, gadatliwa i dowcipna, bywały czasy, że znachodziła przystęp do serca rodziców.

Klotylda i Pulcherya, o rok tylko różniące się wiekiem, były pod dozorem bony francuzkiéj, która zastępując matkę, ochraniała je często od złego humoru rodziców.

Ale powróćmy do Ludmiły, którą obecnie ułan zajął:

Jedne i drugie odwiedziny młodego żołnierza, których przyjemność podniecała myśl o stanie jego majątkowym, zbliżenie się stopniowe, nawet za przyzwoleniem rodziców, przyśpieszyły chwilę wyznania zobopólnéj miłości.

Była to dla młodzieńca niewypowiedzianego szczęścia uroczystość. — Jak żeglarzowi widok rodzinnego portu jest przyjemnym, tak dla niego myśl, że posiadać będzie dziewicę, która wszelkie

poetyczne z aniołami porównania wybornie mogła wytrzymać. — Uważany jako przyszły członek rodziny, pragnął zyskać jéj przychylność i wszelkie możliwe ku temu środki były przez niego użyte. Bogate dary, liczne zabawy, huczne podwieczorki, czułe westchnienia, poszanowanie rodziców, powinny były przekonać pannę, że jest kochaną. — Wiedziała ona o tém, wierzyła w to i umiała postępować stosownie.

Trzy miesiące czasu na łonie dostatku, miłości i zabaw, upłynęły, jak jedna chwila szczęścia.

W tym czasie dla Ludmiły dwa ważne zaszły wypadki. — Naprzód, przybył Władysław, — powtóre, wiatr przychylny łodzi żywota jéj rodzica, nagle się odwrócił, i pędził go ku skałom rozbicia.

Z pierwszym, chociaż po rzewnéj i bolesnéj scenie, umiała wyjść zwycięzko. — wyrzuty uspokoiła, dała na nowo nadzie-

ję i usprawiedliwiła się z postępowania swojego z młodym ułanem.

Mniéj ufający, ale jeszcze mający wiarę, pan Władysław przeczuwał jakieś w duszy nieszczęście — chodził smutny zamyślony, sny miewał okropne i bardzo się zmienił.

Dla czułéj kochanki, te oznaki cierpienia powinny były być przykremi; Ludmiła przecież, która nigdy nie znała czułości, patrzyła obojętnie i cieszyła się, że jest kochaną i do tego, na raz od kilku.

Było zdarzenie, że Pan Władysław dostawszy do rąk bilecik, pisany przez młodą panienkę do szczęśliwego ułana, znalazł go zupełnie podobnym do tych, jakiemi go dawniéj obdarzano. Ta sama czułość, te same nawet wyrażenia, nie pozwalały wątpić że jest zwodzonym. — Okropne było to ocknięcie się, cierpiał wiele i zapadł ciężko na gorączkę.

Po użyciu przykrych środków lekarskich, po upuszczeniu krwi w znacznéj

ilości, po wycierpieniu wielu boleści, odzyskał zdrowie i uleczył się zarazem z namiętności,

Ciężko prawda opłacił przyjemne chwile, ale gracz, któremu jeszcze pozostają fundusze, nie powinien o szczęściu rozpaczać.

Tak uczynił i pan Władysław zrażony na pierwszym kroku, z czystéj duchowéj miłości, rzucił się w kałuże zimnéj namiętności.— Zmienił się tak na twarzy, jak w charekterze i Ludmiła mogła się jedną już cieszyć ofiarą. Powtarzamy, z jednego kłopotu wyszła zwycięzko, z drugim, jakie sprawiło położenie rodziców nie tak już było snadnie, jednak umiała radzić.

Ludmiła nie dla tego cierpiała nad położeniem rodziców, aby ich kochając chciała pomoc przynieść, albo żeby myśliła nad polepszeniem ich losu.— Bynajmniéj; to najwięcéj ją obchodziło, że widziała nieraz jak pomimowoli, potrzeba było zstępować z wysokiego stanowiska

upokarzać się, robić wysilenia, odmawiać swoim fantazyom, w końcu ulubionych pozbywać się cacek. Prawda, ojciec któregośmy mniéj więcéj dali poznać charakter, wszelkich używał środków, aby ukrywać swój upadek, łudzić świetnością i nieraz Ludmiła przychodziła mu w pomoc, aby jakiego, mniéj ostrożnego złudzić kapitalistę i wyjednać pożyczkę; przecież stan ten był dla niéj przykrym, a humor nieznośny ojca i jéj saméj dokuczał.

Wtedy, choć jéj serce pięknym ułanem nie zupełnie było zaspokojone, gotową była oddać mu swoją rękę, bo stan do którego przywykła, może nawet świetniejszy, wdzięcznie się jéj uśmiechał; lecz i to nie było snadne do wykonania, bo młody żołnierz miał jeszcze rodziców, majątku nie posiadał w swoich rękach, był pod ciężką ojcowską kontrollą, a nawet na samo pojęcie żony musiałyby zyskać pozwolenie, jeśliby na gniew ojca i obrazę rodziny nie chciał się narażać.

Przeznaczenie miéć chciało, że półk jego nowe otrzymał przeznaczenie i rozdział naszych kochanków był konieczny.

Po żalach, łzach, przyrzeczeniach, nawet zostawieniu pierścionków na pamiątkę, wyjechał młody officer, a panna, we dwa dni, byłaby znowu tak swobodną jak dawniéj, gdyby interessa ojca pozwalały sprawiać stroje, dawać wieczory i zaćmiewać inne piękności.

Jak na nieszczęście, ojcu codzień było gorzéj, zdawało się nawet że jego przychylna gwiazda zagasła. Mimo tego przecież, były jeszcze powozy, piękne mieszkanie, bony, guwernantki, słudzy piękne apartamenta i... długi.— Gości bywało wiele, młodych i starych, poważnych i trzpiotów, ludzi czczych i z talentami, możnych i ubogich, wielkich imion i drobnowzrostków, bo dom był bardzo przyjemny, a panna na wydaniu niewymownego dodawała mu powabu.

Pomiędzy licznemi gośćmi (najwięcéj

bywało mężczyzn) mężczyzna średniego wieku, przystojny, uchodzący za możnego zbliżył się do Ludmiły.— Jak wszystkim, tak i jemu pozwolono mieć nadzieję, że zaś, bliższe stosunki wiązały go z ojcem, oświadczył mu chęć zaślubienia Ludmiły.

Zwyczajną bywa rzeczą u ludzi lubiących świetne pieścić nadzieje, że gdy ich gwiazda przygasa i potrzeby ciążą na głowie, łatwo wyrzekają się pierwotnych marzeń, chwytają nadarzoną sposobność i znowu z niéj snują pajęczyny, ktore lada wiatr unosi, albo lada jaki bąk przerywa.

To samo było z rodzicami Ludmiły i z nią samą nawet.

Ojciec nie odmówił, ani przyrzekł, odwołał się jak zwykle w podobnych zdarzeniach, do matki i córki, z któremi zaraz po wyjściu gości, zrobił naradę.

— Ah! przez Boga! zawołała matka posłyszawszy o co rzecz chodzi, nie miałeś już kogo wybrać dla naszego anioła.

— Ale zważaj moja duszeczko, przerwał mąż łagodnie, mimo swego zwyczaju; człowiek jeszcze młody, przystojny, zdaje się powolny, a rzecz najważniejsza ma znaczne dochody, z których zaoszczędzając, umiał zebrać, jak powiadają, znaczny kapitał. — Sto tysięcy, moja duszeczko, to w dzisiejszych czasach ładny kapitał. — Taki mąż, jak pan Wilhelm, człowiek porządny, nie jest do pogardzenia i ja sam wiem, że Ludmiła wcale od tego nie będzie.

— Ale jeśli go nie kocha zagadnęła matka troskliwa o serduszko swojego dziecięcia.

— Jeśli go nie kocha!... ha! ha! ha! Ludmiłka myśli jak ja, wszak prawda, kochanko? tu ojciec wyciągnął dłoń po rękę córki i pocałowawszy ją mówił: — Ludmiłka wie dobrze, że piękny powóz obszerne mieszkanie, pieniądze przedewszystkiem, to wszystko o co się naprzód starać potrzeba, a za tém, to wszystko będzie.

jak to mieć przyjemnie swój dom, a do tego piękny, modnie umeblowany i być w nim, jakby królową, którą wszyscy uwielbiają, szanują, kochają, i która tylko skinąć powinna, aby jéj wszystko ulegało. — N'est-ce pas, mon chèr papa? że pan Wilhelm może mi tego wszystkiego dostarczyć?

— Tobie mój aniołku, któżby co odmówić potrafił? odrzekł uszczęśliwiony ojciec, całując znowu rękę córuni.

A więc pójdziesz za pana Wilhelma?

— Zgadzam się z twoją wolą mój ojcze, odpowiedziała wdzięcznie Ludmiłka.

— A jakże będzie z tym młodym oficerem? zagadnęła matka, która pierwszych marzeń nie tak się łatwo zrzekała.

— Jak będzie! jak będzie! wykrzyknął ojciec, który już pewny swego, rozkazujący ton przybrał; tak będzie, jak tobie nic do tego.

— Jak przyjedzie, tak sobie i pojedzie, odpowiedziała Ludmiła; być może

Wszak prawda, moja kochanko?

Panna Ludmiła po małem zamyśleniu, odpowiedziała:

— Mon chér papa, okropnie od niejakiego czasu jestem znudzona; wszak podobno tydzień jak na żadnéj nie byłam zabawie, a to jedynie dla tego, że nie mam sukni modnéj, a pomiędzy kapeluszami, których podobno mam ze trzydzieści, najnowszy ma już trzy tygodnie.

Ah! mon Dieu, trois semaines, c'est presque un siecle, osobliwie dla tych którzy się nudzą. Ma foi, wszystkobym uczyniła, byleby nie być, jak teraz.

Mon papa, wszak Monsieur Guillhaume trzyma konie i powóz?

— Nie inaczéj odpowiedział zadowolony ojciec, ale gdyby się z tobą mój aniołeczku ożenił, musi przed ślubem sprawić karetę, inaczej bym nie wydał ciebie za niego.

— C'est juste, très juste, odrzekła Ludmiła powstając. — Liberyą ja sama po-

dyktuje, jaką ma sprawić.— C'est doit être quelque chose extraordinaire, n'est-ce pas?... Par exemple, karmazynowa, trzewiki i pończochy. — Dom urządzę podług mojego smaku — Ah! mon papa, że więcéjbym go kochała, ale ja czekać nie lubię i wolę to, co zaraz mieć mogę.

— Otóż to rozum! zawołał ojciec i ucałował miłą córeczkę.

ROZDZIAŁ V.

JESZCZE HISTORYA MŁODEJ KOBIETY, RZECZ NIE CIEKAWA, ALE TEN ROZDZIAŁ DLA CAŁOŚCI CZYTAĆ POTRZEBA.

Pan Wilhelm, którego rodzice Ludmiły za przyszłego zięcia swojej córki przyjęli, którego i ona sama nie odrzuciła, był jednym z tych ludzi, którzy byt materyalny nawet przed zbawieniem duszy kładą; których myśl i pragnienie wiecznie krążą około zapewnienia dostatku

i którzy ku temu wszystko i wszystko poświęcają.

Pan Wilhelm wszędzie był dobrze uważany i słusznie. — Naprzód, ubierał się pięknie, trzymał konie i powóz, mieszkanie chociaż kawalerskie, miał z kilku składające się pokoi, nic nikomu nie był dłużen, płacił gotówką za wszystko, w kompanii wypił jeden i drugi kieliszek, śmiał się ze wszystkiego, z nikim się nie kłócił i zwano go bardzo porządnym człowiekiem.

Z młodości, może bieda nie raz dała mu się we znaki, może nie raz był głodnym, potrzebnym, czuł zimno i pragnienie; dla tego, gdy miał sposobność pierwszych zaopatrzenia potrzeb, pamiętał, aby kiedykolwiek znowu jeść mu się nie chciało i zaoszczędzał swoje fundusze, nic z nich nie poświęcając na przyjemności życia, dla serca, dla oczów, albo uszów.

Urosły niewielki kapitał pan Wilhelm

umiał podwoić. — Podwojony urosł w trujnasób; trzechkrotny jeszcze się powiększył.

W powiększeniu funduszów, trzeba podziwiać cierpliwość pana Wilhelma i chyba tem ją tłómaczyć, aby nie obwinić o sknerstwo, że przyszłość gotował sobie swobodną, że w niéj wszystkiego użyć zamierzył.

Pan Wilhelm, dotąd, miłość uważał, a może i słusznie, jako przysmaczek, którym się możni mogą uraczać, a o którym biedakom i pomyśleć nie wolno.

Aż dotąd nie kochał wcale, a chociaż zapewne nie raz wydzierało mu się serce, czy zrażony obojętnością, czy przekonany, że kobieta, którąby się jemu podobała, za wiele będzie kosztować, był zdaleka od płci pięknéj i chociaż ją uwielbiał, patrzył jak na zakazane owoce.

Wprowadzony w dom rodziców Ludmiły, ośmielony jéj łatwém postępowaniem, zachwycony jéj wdziękami i talen-

tami, a przytém, wiedzący o stanie ojca, ośmielił się po raz pierwszy pomyśleć o żonie, w pamięci przeliczył kapitał, za który ma sobie kupić cacko do domu i znajdując go dostatecznym, oświadczył swoje myśli ojcu.

Pan Wilhelm, dotąd, zasklepiony ze swojemi życzeniami sam w sobie, Ludmiłę uważał za ową wyższą istotę, która ciemne drogi jego żywota miała rozświecić. — Usta jéj stworzone do pieszczoty, głosek mile zachwycający ucho, figurka nimfy, słodycz anioła, wdzięk niebianki, tyle przyrzekały mu roskoszy, że po raz pierwszy w życiu, zaczął poetyzować i szczerze się zakochał.

W rzeczy saméj, panienka skromna, wychowana pobożnie, kryjąca talenta, jeśli ma jakie, na dnie w sercu przechowująca skarby czułości, choćby nawet i ładna, nie mogła iść w porównanie z Ludmiłą. — Ostatnia była czarująca, zachwycająca i któżby ją nie chciał posiadać?

Lecz ... jeszcze nie czas, wczesnie nie chcemy rozczarowywać czytelników.

Pan Wilhelm mając zezwolenie panny i rodziców, zajął się przygotowaniami weselnemi, w których młoda narzeczona pragnąc mieć wszystko do smaku, nie mały znalazła udział. Wymagania jéj, raczéj objawiane życzenia, nie raz zatrwożyły pana Wilhelma i kto inny na jego miejscu, możeby się wyrzekł posiadania piękności; lecz on, raz wyobraziwszy sobie roskosze posiadania jéj, nie mógł, a raczéj nie miał siły zrzekać się dobrowolnie i wszelkie ofiary ponosić postanowił.

Piękny apartament, na Nowym świecie, modna kareta, anglizowane konie, liberya dla służących, meble, różnych nazwisk cacka, przepołowiły jego kapitał; patrzał nań smutnie, lecz sądził, że na nich będzie koniec i że odwoławszy się do praw męża, będzie mógł tamę położyć nad siły rozrzutności.

W tém przekonaniu, zaślubił piękną Ludmiłę.

Nabycie najpiękniejszego obrazu dla ubownika sztuki, posłyszenie czarującej melodyi dla artysty, wygranie miliona, dla karciarza, osiągnienie najznakomitszego miejsca dla dumnego człowieka, nie tyle sprawia radości, ile jéj uczuwał pan Wilhelm, mogąc Ludmiłę nazwać swoją małżonką, mając dozwoloném dotknąć jéj ślicznych ustek, popieścić się nią, jak dziecko cackiem, i patrzyć wciąż na swoje szczęście i roskosz.

Nie dziwmy się temu usposobieniu pana Wilhelma; kochał, a Ludmiła była tak miłą, tak przymilającą się, rzekłbyś tak przywiązaną, że nawet najzimniéjszego serca mężczyzna, niemógłby być innym.

Osiągnąwszy cel swoich marzeń, pan Wilhelm sądził, że szczęście domowe, roskosze pożycia, miłość gołębia, pieszczoty same, zapełnią czczość dotychczas doznawaną; zgoła, pan Wilhelm pragnął

być sielankowym kochankiem, wzdychać, całować, pieścić najmilszą istotę i gdyby można, z domu nawet nie wychodzić.

Jak myślał, tak chciał i wykonać; lecz jakby na nieszczęście, Ludmiła czego innego pragnęła, a nie śmiejąc mężowi chęci swoich objawić, udawała cierpiącą.

Ah! jakaż to boleść dla czułego serca, patrzeć na cierpienie najmilszej dla nas istoty. — Wilhelm czuł okropnie to cierpienie i chciał ile było w jego mocy, ulżyć ukochanéj małżonce.

Powstał ruch nadzwyczajny w domu, uwijali się słudzy, biegał pan i całując pytał, coby jéj mogło pomódz, co w lepszy humor wprowadzić, co rozweselić, rozerwać?

— Mój drogi, mój miły, odrzekła Ludmiła, głaszcząc męża pod brodę, jakoś mi nudno i smutno, sama nie wiem czemu to można przypisać; ale sądzę żeby mi było lepiej, aby nieco wyjechać, użyć świeżego powietrza, bo przyznam ci się, nie lubię siedzieć ustawicznie.

— A więc dobrze moja, najdroższa, odrzekł czuły mąż, każę zaprządz do karety i pojedziemy w Aleje.

— Ah! jakaż to nudna przechadzka!

— To pojedziemy do Królikarni.

— Tyle razy tam byłam.

— Do Wilanowa?

— Lepiéj go znam jak twoje mieszkanie.

— Jedźmy gdzie ci się podoba.

— Pojedziemy mój koteczku na Miodową ulicę, przejrzę sklepy, może co znajdę gustownego, rozmaitość nieco mię rozerwie i zabawi.

— Jestem posłuszny mojéj pani, odrzekł pan Wilhelm, całując w rękę małżonkę.

I w téj chwili, jakby czarodziejską siłą, Ludmiła podniosła się z kanapy, z rozjaśnionem obliczem, kazała się ubierać i szczęśliwi małżonkowie wyjechali przeglądać sklepy.

Ludmiła bardzo była wesołą; w sklepach znalazła wiele rzeczy do smaku,

wybrała dużo dla siebie rozmaitych ozdóbek, że zaś mąż nie wziął z sobą pieniędzy, uformowany rachunek wynosił złp. 3895 gr. 20.

Jakkolwiek na małą niedyspozycyą wiele kosztowało lekarstwo, jednak szczęśliwy mąż mający tę pociechę, że żona była w najlepszym humorze, pieściła go i cały wieczór przepędzili z sobą, który Ludmiła starała się wszelkiemi siłami uprzyjemnić.

Usypiając pan Wilhelm, obiecywał sobie nazajutrz nowe przyjemności i pieszczoty, a chociaż we śnie, przyjemnie powtarzały się jego myśli, rzeczywistość zawiodła, bo nazajutrz znowu Ludmiła była smętną, ponurą, narzekała na ból głowy i mówiła, że potrzebuje jakiéj rozrywki.

— Czegóż żądasz kochanko? zapytał pan Wilhelm czule, ale z niejaką bojaźnią aby mu niezaproponowano przechadzki, do wczorajszéj podobnéj.

— Mówię ci, mój koteczku, odrzekła

tonem smutnym Ludmiła, że nudzę się i potrzebuję rozrywki.

— Może chcesz do rodziców przejechać, zobaczyć twoje siostry i brata?

— Ciekawam, co będę z niemi robiła?

— Może chcesz czytać, kochanko? pójdę do księgarni i jak najświeższe zamówię ci książki.

— Ah! dajże mi pokój z książkami! wiesz że tylko w ostatnim wypadku uciekam się do tych martwych rozumów.

— A więc co? powiedz, moja droga; wszak wiesz ile cię kocham i niczego nie będę szczędził, aby ciebie zabawić.

— Czy nie możnaby, mój drogi, wieczoru? wiesz, ja bardzo lubię muzykę, możnaby jakich amatorów poprosić, złożyć kwartet i zarazby było weseléj.

— Tak, tak moja kochanko, odrzekł jąkając się pan Wilhelm; ale przyznam

ci się moja droga, że mało znam osób muzykalnych i...

— Jeżeli o to tylko chodzi, to najmniejsza, mój lubeczku. — Amatorów i gości, ja biorę na siebie i zaręczam ci, bardzo będziesz zadowolony; zechciéj tylko zająć się przygotowaniem wieczoru, zamów kolacyą, sprowadź wina, ja z resztą wszystkiemu poradzę, bo wiesz, że mam smak po temu. — No i cóż mój mężuniu? Jakto? miałbyś mi odmawiać?... Widzisz jak jestem cierpiąca, a to wszystko ze znudzenia, bo jestem przyzwyczajona do rozmaitości. — Mój drogi, moja duszeczko, mój kochanku, mój lubciu. — I uwiesiła się na szyi męża całując go serdecznie.

Przystał pan Wilhelm, bo i cóż miał począć? Wybiegł na miasto, wziąwszy kilkaset złotych w kieszeń; utrudził się nie mało i dopiero o wpół do drugiéj powrócił do domu.

Nad wszelkie spodziewanie zastał żonę wesołą, która go czułemi powitała u-

ściśnieniami. — Jéj uśmiechy, jéj pieszczoty były tak przyjemne, że się niemi nasycić było niepodobna.

Wieczorem, jaśniały światła, grzmiała muzyka, przesuwała się po salonach młodzież i Ludmiła była wesołą, swobodną, szczęśliwą. — Sama odegrała kilka sztuk na fortepianie, chwalono jéj grę i biedny mąż, nie mógł się nawet zbliżyć do niéj tak w koło była obstąpiona młodzieżą.

Tego dnia, pan Wilhelm chciał użyć środka, używanego przez swoją małżonkę, aby jéj czułość obudzić i narzekał na okropny ból głowy, chodził skrzywiony i milczący, przecież nikt na to nie zważał, osobliwie żona.

Trzeciego, czy czwartego dnia po ślubie, musiał pan Wilhelm prowadzić żonę na bal, pierwéj jednak wynająć piękne dyamenty i perły.

Nie wiemy, czy żałował tego wydatku, bo żona cudownie wyglądała, tańcowała ustawicznie i sam słyszał jak ją chwalono. Zawsze to jest przyjemnie,

że nasz smak jest podzielany i że własność nasza wielum się podoba.

Po upływie miesiąca czasu, pan Wilhelm widząc wycieńczającą się swoją szkatułkę, z taką napełnioną pracą, stawił maleńką oppozycyą, srodze przecież był za to ukarany, bo Ludmila trzy dni nie wychodziła ze swego pokoju, zażywała nawet lekarstwo i była tak mizerna, że aż serce bolało.

Znowu więc nowe zabawy, nowe sprawónki, nowe rozrywki i nowe wydatki. za które pocałunki, pieszczoty wynagradzały męża.

Pan Wilhelm rozczarowany nieco względem swojego bożyszcza, wybrał się pewnego dnia z kazaniem i rozpoczął je w te słowa:

— Moja kochanko, przyznam ci się, że mię nudzą te ustawiczne wizyty i zabawy, dobre to są rzeczy, ale rzadko używane i tém ponętniejsze, gdy ich odmawiamy sobie. — Moja duszeczko, ja cię tak kocham i pragnąłbym cały czas pę-

dzić przy tobie, pieścić się wiecznie i nie patrzeć, jak świat ciebie odemnie odrywa i rany memu sercu zadaje.

I ty to samo moja Ludmilko, musisz uczuwać. — Szczęście domowe, to podobno najpożądańsze sercu, wzajemna szczera miłość, wypełnienie obowiązków, modlitwa, żywe uczucia, one same tylko nie zostawiają czczości w sercu. — Trzeba życie odmienić moja duszeezko, ja muszę się wziąść do pracy, ty zajmiesz się domem, i będziemy oboje bardzo szczęśliwi.

Wszak prawda, Ludmiło?

— Co mówisz? zagadnęła czuła małżonka, budząc się, jakby ze snu zamyślenia.

— Mówię, powtórzył pan Wilhelm, że potrzeba życie odmienić, wziąść się do pracy.

— Co? co? zapytała Ludmiła, zupełnie cię nie rozumiem. — Ciekawam o jakiéj mówisz pracy, bo ja o żadnéj nie myślę.

— Ja nie mówię o pracy, ale o zatrudnieniu właściwém kobiecie — naprzykład, moja droga, niezawadziłoby żebyś czasem zajrzała do kuchni, wiedziała o swojéj i mojéj bieliźnie, bo przyznam ci się, dom jest obowiązkiem żony.

— Co to znaczy obowiązek? zagadnęła spoglądając z pod oka Ludmiła. — Na honor, tyle lat żyję na świecie, a nie słyszałam o żadnych obowiązkach. — Czy to ma znaczyć, żebym u ciebie służbę przyjęła?

— Któż o tém mówi? Jakto! czy nie pojmujesz tego, że każdy człowiek ma na świecie obowiązki, a te są stosownie do jego położenia mniéj więcéj rozległemi.

— Cóż to za kazanie, mój drogi?

— Bynajmniéj nie kazanie; ale pragnąłbym moja kochanko, abyś poznała i pełniła twoje obowiązki.

— Ah! nie nudźże mię z temi obowiązkami, rzekła powstając i śpiesznym

krokiem oddalając się do swego pokoju.

Pomięszany mąż pozostał na placu boju, ale nie jako zwycięzca. — Zamyślił się, potarł czoło i rzekł:

— Ah! ta kobieta nie ma litości, uwzięła się na to, aby mię wiecznie udręczać. — Ah! to nie trzeba miéć duszy i serca!

Oskarżenie pana Wilhelma jest cokolwiek za ciężkie, bo Ludmiła, piękna Ludmiła, musi miéć duszę i serce; żeby jednak wiedziała o tem, nie ręczymy, bo ani ojciec, ani matka, ani żaden z nauczycieli, nie powiedzieli jéj tego. — Zapewne uważali to zbytecznem i nie chcieli szkodliwéj udzielać wiadomości.

Nastąpiła zgoda pomiędzy małżonkami, ale w traktacie, słabszą stroną był Wilhelm i musiał przyjąć następujące warunki:

1º Że nigdy o żadnych obowiązkach żonie nie będzie wspominał.

2º Że nigdy o kuchni, ani bieliźnie wzmianki nie będzie.

3º Że nazajutrz ma być tańcująca herbata.

4º Że nowy fortepian, kosztujący 4000 złp., ma być natychmiast do mieszkania sprowadzony.

Wśród wymagań z jednéj strony, oporu i ustąpień z drugiéj, zabaw i przyjemności z pierwszéj, kłopotów i udręczeń z drugiéj, pan Wilhelm i Ludmiła przepędzili z sobą rok małżeńskiego pożycia.

W tym czasie, położenie ojca Ludmiły w niczém się nie polepszyło, szło owszem coraz gorzéj, Wilhelm zaś mimo chęci zaspakajania potrzeb żony, znalazł się w krytyczném położeniu. — Gotowy pieniądz, którego zebranie nie mało kosztowało go potu, który dla niego był przedmiotem dumy, nadziei, rozprysnął się po świecie i pozostał tylko żal po nim. — Żona kosztowała go zbyt drogo, czuł to dobrze, ale właśnie, dla tego, że kosz-

towała, miała w jego oczach nieoceniony powab i niewypowiedzianą wartość. Jak na nieszczęście, codzień się przekonywał, że nie jest kochany, a nareszcie, okropne podejrzenie rozgościło mu się w małżeńskiem sercu.

Z licznego towarzystwa, jakie musiał przyjmować u siebie, nawet i w swojej nieobecności, był mężczyzna młody, przystojny, mówiono nawet, że bogaty. — Henryk mu było na imie. — Mężczyzna ten w szczególnych był względach u Ludmiły, często razem grali przy fortepianie, często razem czytali, często konno i to sami wyjeżdżali na przechadzkę, a często i sam Wilhelm pragnąc odpocząć w domu po pracy, jemu polecał małżonkę.

Otóż Wilhelm myślił, że ów mężczyzna kocha się w jego żonie i ona jest nim zajęta. — Walczył sam z sobą, brnął w domysłach, przypominał sobie ich spojrzenia, nieraz ciche rozmowy i serce mu pękało z boleści. — To znowu

przychodziło mu na myśl, jak żona czule go uścisnęła, jak zarówno dla wszystkich jest grzeczna, jak obchodzą ją tylko zabawy i stroje i uspakajał się nieco.

Gdy tak walczył z sobą, pewnego dnia, gdy Ludmiła była cierpiąca, na żarty, czy na prawdę, nie wiemy, a on siedział u stóp jéj i całował po nogach, czuła małżonka tak zaczęła:

— Wiesz co Wilhelmie, życie nasze jest bardzo nudne i dziwię się, jak jesteś cierpliwym, że się nanie nie skarżysz; co do mnie, myślę, że jeśli tak dłużéj potrwa, nieochybnie suchot dostanę.

— Ludmiło, ty żartujesz? czule zapytał mąż, jakże możesz mówić, że ja się nudzę będąc przy tobie, bawiąc się z tobą, słysząc twój głos? Co do ciebie nie przeczę, może dzisiaj więcéj niż kiedykolwiek cierpiąca, smutnych doznajesz myśli — ale słabość przeminie, powróci dobry humor i zapewne męża nie będziesz dręczyła więcéj swojém cierpieniem.

— Ja nie żartuję, mój Wilhelmie. — Nudne i bardzo nudne jest nasze życie i raz jeszcze powtarzam, jeżeli w niém zmiana nie nastąpi, do grobu wybierać się po trzeba.

— Ah! cóż za dziwny dzisiaj masz humor! zawołał mąż powstając z małego stołeczka, na którym siedział przy nogach Ludmiły.

— Oh! już on od dawna takim, rzekła z ciężkiém westchnieniem młoda mężatka.

— Trzeba się starać, aby go zmienić, trzeba myśléć, aby życie uczynić sobie więcéj powabném, więcéj zajmującém.

— Ja dawno już myślę o tém.

— I cóżeś wymyśliła? zapytał mąż, stojąc przed Ludmiłą.

— Gdybym wiedziała, że się nie obrazisz, mój Wilhelmie, powiedziałabym ci wszystko najszczerzéj.— Siadaj, mój kotku, kto wie, może ja ci i powiem, ale nie myśl, żeby to ze złego pochodziło serca, siadaj, tu przy mnie.

Zaiskrzyły się oczy Wilhelma, serce radośnie w piersiach bić mu zaczęło, bo myślał, że jego ukochana Ludmiła przekonana o szkodach, jakie zabawy i uciechy zrządziły, zamierza zająć się domem, usłuchać jego rady i zacząć życie użyteczne, pracowite, mające swój cél i dążenie. — Usiadł więc, wziął jéj rękę, i pocałowawszy rzekł:

— Oh! wiem, moja Ludmiła jest dobra, czuła, kocha mię szczerze i jestem pewny, że mię usłuchała. — Powiedz więc moja duszeczko, nad czém myślisz tak dawno?

— Bardzom ciekawa, czy kiedy mię wysłuchasz, to samo powiesz o mnie.

— Jestem tego pewny.

— A więc uważaj.

— Wiesz mój kochanku, mówiła Ludmiła, jak drogiemi są dla mnie, twe zdrowie i twoja spokojność..

Wilhelm ucałował żonę za czułe oświadczenie.

— Tylko mię wysłuchaj Wilhelmie,

mówiła małżonka, a sam przyznasz, że wielką mam słuszność. — Znasz mię zapewne Wilhelmie i wiesz, że lubię rozmaitość, że jednostajność mię nudzi, że moje wychowanie wymaga zabaw, uciech, rozrywki, których chcąc mi dostarczyć, ty nie raz jesteś w kłopocie, bo wiem, że twoje fundusze znacznie się wycieńczyły.

— Zatém dla mnie wszystkiego się wyrzekasz, najdroższy mój aniele? Ah! pozwól, niech na kolanach złożę ci podziękowanie, niech u stóp twych, dusza moja rozpłynie się z radości.

To mówiąc, Wilhelm, w rzeczy saméj padł do nóg Ludmiły i całował je, jak zapamiętały kochanek.

— Ale wysłuchajże cierpliwie, mój drogi Wilhelmie, rzekła Ludmiła. — Jeszcze nie wiesz, wszystkiego i przedwcześnie się unosisz.

Podniósł się pan Wilhelm, usiadł przy żonie i słuchał z uwagą co ona mówiła:

— Wierzaj mi, ja się nie raz ciebie li-

tuję i myślę, że dłużéj utrzymać mię nie będziesz wstanie, bo jakkolwiek twoje dochody...

— Moje dochody są wystarczające na skromne i przyzwoite życie.

— Do którego przyznam ci się, jestem nieprzyzwyczajona.

— Źle, źle moja Ludmiło.

— Być może; ale inaczéj jak mię wychowano, żyć nie mogę i właśnie dla tego...

— Chcesz zapewne ograniczyć nasze wydatki, więcej zamiłować dom, domowe spokojne szczęście.

— Ah! dajże mi pokój z twojém domowém szczęściem; ja go ani rozumiem, ani nie pragnę.

— A więc co chcesz uczynić moja najdroższa?

— Chcę cię uwolnić, kochany Wilhelmie od ciężaru, ktory wziąłeś na swoje ramiona, nie obliczywszy wprzód jego wagi. — Oh! tak Wilhelmie, oboje omyliliśmy się w rachubach.

— Jakto! zawołał pomięszany małżonek, ja ciebie zupełnie nie pojmuję, ja nie rozumiem twojéj mowy.

— A więc ci jaśniéj, mój koteczku wyłożę. — Ażebyś był szczęśliwy, jak marzyłeś, w domu, przy kominku, z dobrą na obiad pieczenią, z sygarem w ustach po herbacie, powinieneś był szukać jakiéj parafijanki, któraby miała za szczęcie, podawać ci swoją ręką, wyprasowane koszule i zastawiać stół baranią pieczenią, którą tak lubisz; lecz przyszło ci do głowy zaślubić młodą panienkę, któréj serce, z piersi się wyrywa do świata, która ma tyle smaku i pragnienia, która lubi sztuki i w nich żyć pragnie — pozwól więc, mój koteczku, że powiem ci prawdę, źle się wybrałeś. Aniś siebie nie uszczęśliwił, ani mnie nie dałeś, czego pragnęłam.

Wilhelm ciężko westchnął i odrzekł dopiero po chwili:

— Ja się nie skarżę bynajmniéj; dla

mnie przyjemnie jest najcięższe ponosić ofiary. Co zaś do ciebie...

— A ja w ofiarach nie znajdę przyjemności.

— A więc cóż postanowiłaś?

— Postanowiłam, wyrozumowałam, dowiodłam sobie, że w naszém położeniu, dla zobopólnego szczęścia, nic nie ma lepszego nad rozwód.

— Rozwód? powtórzył zdumiony pan Wilhelm i w tył się cofnął. Rozwód! cóż to ma znaczyć? Rozwód! po jednym roku pożycia!... Nie, ty żartujesz Ludmiło, nie, ja temu nie wierzę, ty mię tylko chciałaś udręczyć.

— Oh! nie, nie mój koteczku, odpowiedziała małżonka, wieszając się na szyi Wilhelma; widzisz, jak ciebie kocham, że dla twego szczęścia, zrzekam się nawet ciebie.

— Ale do czegoż te szyderstwa! zawołał oburzony pan Wilhelm. — Ludmiło, rzecze łagodnie, nie żartuj ze mnie, nie udręczaj mię więcéj.

— Ja wcale nie żartuję.

— Ale zważaj, że ciebie tak kocham, że bez ciebie jabym żyć nie mógł.

— Prędzéj nie mógłbyś żyć ze mną.

— Dla czego?

— Bo nie będziesz w możności stosownego mię utrzymania.

— Wszak wiesz, że pracuję Ludmiło, że stokroć więcéj, dla ciebie będę pracował, że możemy się nieco zaoszczędzić.

— Ale to nadaremna. — Ja ciebie proszę, mój Wilhelmie, dla naszego zobopólnego szczęścia, pozwól na rozwód.

— Więc nie żartujesz?

— Jak papę kocham, tak mówię szczerze.

— Zaczekaj niech się namyślę.

Pan Wilhelm zaczął śpiesznym krokiem chodzić po pokoju, Ludmiła zaś, jakby mu chciała umilić przykre namysły, usiadła do fortepianu.

W kwadrans! może, Wilhelm stanął przed swoją żoną i mówił:

— Czy zważyłaś moja najdroższa, że interessa twojego ojca w złém są bardzo położeniu, że powróciwszy do domu, przysporzysz mu tylko kłopotu, że sama nie polepszysz losu, i że... Ale co o tém ludzie powiedzą?

— Ludzie! ha! ha! ha! dziwi mię twoje pytanie. — Jedni powiedzą, że byłeś złym mężem i wyżyć z tobą nie mogłam; inni będą rozgadywać, że się w kim innym zakochałam; inni znowu, że tak nam kazały okoliczności, ale w miesiąc wszystko ucichnie i będzie dobrze jak pierwéj. — Co zaś do moich rodziców i do mnie, nie troszcz się o nic. — A więc zezwalasz, mój koteczku, moja dusio, mój Wilhelmku najdroższy?

— Pozwól mi jeszcze pół godziny namysłu, odrzekł małżonek i zaczął chodzić po pokoju, żona mu zaś przygrywała melancholijną *Nokturnę* Chopina.

— Ale jakież punkta do rozwodu?

zagadnął po chwili Wilhelm stając przed żoną.

— Punkta? ha! ha! ha! czy może być co łatwiejszego? Przywołamy jednego i drugiego prawnika, zrobiemy naradę i rzecz będzie w godzinę skończona. — odrzekła Ludmiła i na nowo grać zaczęła.

Wilhelm wciąż chodził.

— Czy myślisz iść za mąż? zapytał znowu po chwili, stojąc przed żoną.

— Jeśli mi się trafi a dobrze, krótko odpowiedziała małżonka.

— Hmu! pomruknął mąż i znowu chodził.

— Ha! niech się dzieje wola Boża, rzecze nakoniec, przestań grać moja droga, bo jak na rozwód, to za wesoło wyglądamy.

— Dla czegóż mamy się smucić?

— Trzeba obszerniéj pomówić o tém. — Siadaj kochanko przy mnie.

Wśród pieszczot, nawet zapewnień miłości toczyły się układy, pomiędzy rozdzie-

lić się mającemi małżonkami. — Wilhelm z poświęceniem, jakie wynika z rozumowania, zupełnie zezwolił na rozdzielenie, pozostawił Ludmile konie, karetę, meble, zgoła wszystko, co było w domu i nazajutrz wracając do skromnego kawalerskiego życia wyprowadził się do hotelu.

Ludmiła rozdzielona z mężem, nie przestała żyć świetnie, mieszka jakieśmy widzieli, ozdobnie, ubiera się modnie, trzyma kilku służących i widać, że bardzo jest swobodna. — Rozwód jéj, do którego punkt najważniejszy, w tém wynaleziono, że po roku pożycia nie ma potomstwa z mężem, jest jeszcze nierozstrzygnięty, wszyscy przecież mówili, że niezawodnie nastąpi.

ROZDZIAŁ VI.

PAN SOLIMAN, JEGO TOWARZYSZE — OJCIEC GOŚĆ RANO.

Pan Soliman, Alfons, Narcyz i Aloizy, wybornie się bawili w zielonym ogródku. — Nieprzyjaciele przymusu i jak utrzymywali, ludzie postępowi, z radością, patrzyli na pomięszanie się stanów, wzburzenie namiętności i zrównoważenie w niedorzecznościach. — Tań-

cowali, śpiewali, pili, umizgali się i dopiero nad ranem powracali do domu.

Pan Alfons i Narcyz, czy dla uniknienia dalekiéj drogi do własnych mieszkań, czy dla przyjemności rozmowy, o wszystkich rozkoszach bezprzymusowéj zabawy, oświadczyli chęć przespania się u pana Solimana, pan Aloizy zaś lękając się, aby mama nie była o niego niespokojną, pożegnał towarzyszy na Nowym świecie.

Pan Soliman, mieszkał przy ulicy Krakowskie przedmieście — nie tak przecież ozdobnie, jak kiedy rozpoczynał swój zawód, bo zamiast postępowania, szedł w tył, dochody miał coraz mniejsze i obszernego mieszkania, które niezbędném uważał do powodzenia, nie był w stanie opłacać. — Mały przedpokój, pełen nieporządku, brudny pokoik, ciasny i ciemny. — Oto jego apartament.

Gdy nasi znajomi kawalerowie, przybyli do mieszkania pana Solimana, na-

tychmiast uraczyli się fajkami i rozmawiając o zabawie, która im wypróżniła kieszenie, a dymem szału napełniła głowy, gotowali dla siebie spoczynek.

Wywleczony z łóżka siennik, miał posługiwać w miejsce poduszek, derka zaś z krajek, miała stanowić posłanie. — Twardość posłania zupełnie była im obojętną, nie myśleli nawet o niéj i w najlepszym humorze, legli obok siebie.

Przerażające zimno, oprócz kołdry i szlafroka, innego wymagało nakrycia i dla tego, wszystkie trzy płaszcze, do wspólnego zostały użytku rozciągnione.

Pan Soliman i Alfons usnęli zaraz, pan Narcyz zaś, czując jak mówił, grającą w sobie naturę matkę, improwizował z posłania. — Nie długo przecież i jemu skleiły się powieki, marzył, gadał, coraz słabiéj i ciszéj, w końcu usnął zupełnie.

Dzień jasny w okna zaświecił, gdy nasi przyjaciele najsmaczniéj zasypiali, marząc może o zielonym ogródku, o uro-

czych nimfach, o świetnem powodzeniu, o biedzie może, gdy mocne kołatanie do drzwi dało się słyszéć. — Narcyz najpierwszy przebudzony, improwizował wiersz, który mu się może przyśnił, albo którego przed zaśnięciem, nie mógł dokończyć:

Pójdźcie, pójdźcie w me objęcia,
W sercu mojém skarby noszę,
Wielkie myśli, przedsięwzięcia
Wyspowiadam i ogłoszę.
Oh! ujrzycie jakim pędem
Wzlecę z wami w nowe światy,
Ludy wszystkie staną rzędem,
A skronie ich zwieńczą kwiaty.

Kołatanie znowu dało się słyszéć; lecz Narcyz nową nań odpowiedział zwrotką:

Stare plemie niech przepadnie,
Co w przesądach nas chowało,
Odurzyło serca zdradnie.
Życie samo wydrzéć chciało.
Precz! precz! nie wejdziecie,
Kędy wejdzie szału dziecię."

— Soliman! Soliman!... ozwał się za drzwiami chrapliwy i stłumiony głos staruszka. — Narcyz, jakby odpowiedając na zawołanie, głośno znów deklamował:

Bracia moi, ze mną razem,
Wzleciemy w kraje marzenia,
Ziemia zimna, ziemia głazem,
Ziemia nie warta wspomnienia,
Wynośmy się z tego kału,
Dzieci czucia i zapału,
I zdążajmy w świat idei,
Drogą szczęścia i nadziei.

— Soliman! Soliman! znowu zawołał staruszek i mocno wstrząsnął drzwiami, na co Narcyz odpowiedział w zapale:

Wejść tu nie można w niegodowéj szacie,
Starym tu miejsce wzbronione,
Inne duchy, serca macie
Wy starzy, wszyscy na stronę!

— Co u licha pomruknął staruszek,

który pukał do drzwi, czy mój syn tu nie mieszka? czy nie ma nikogo?... ale przecież wyraźnie słyszałem głos, który mówił, że starym tu wchodzić nie wolno — Zajrzyjmy dziurką od klucza, może co zobaczemy.

I ciekawe oko zapuścił staruszek przez dziurkę od klucza, za którą ukazały mu się porozrzucane rzeczy i trzy głowy, wyglądające z pod nakrycia.

— To on! rzecze, to on! widzę jego głowę i nie pojmuję...

Poruszył klamkę silniéj jak pierwéj, że ocknął się pan Soliman i chcącego improwizować pana Narcyza upomniał.

— Ciszéj, ciszéj mój drogi — pewnie praczka, albo szewc ranną chce mi oddać wizytę a przyjmowac żadnego z nich nie mam ochoty.

Umilkli obadwaj przyjaciele, zdawało się, że obadwa nie śmią oddychać — staruszek znowu mocno wstrząsł drzwiami i zawołał:

— Soliman! Soliman! to ja, twój ojciec.

— Mój ojciec! powtórzył zmięszany artysta malarz; przyznam się, że w niemałym będę kłopocie, jak przyjąć mojego ojca w takim nieporządku; ale cóż robić? trudno ojcu kazać ziębnąć za drzwiami. — Moi drodzy, wstawajcie i ubierajcie się jak można najprędzéj.

— Soliman! Soliman! znowu wołał staruszek.

— Zaraz, zaraz mój ojcze, odrzekł syn i począł się podnosić.

Za chwilę, zarzuciwszy szlafrok na siebie, wyszedł pan Soliman do przedpokoju, otworzone drzwi przymknął i odsunąwszy zasówkę, wpuścił ojca, który czułém, ojcowskiém powitał go uściśnieniem.

— Ah! jakiżeś mizerny, mój drogi synu, mówił staruszek, smutnie patrząc na pana Solimana, czyś chorował mój drogi?

— Nie, nie mój ojcze — zupełnie je-

stem zdrów; ale późno przyszedłem z zabawy z przyjaciołmi, którzy właśnie raczyli przyjść ze mną, jestem więc niewyspany.

— Hmu! te zabawy, pomruknął ojciec. — Mój drogi, zabawa nigdy nie tuczy, a osobliwie w dzisiejszych czasach. — Czy odebrałeś mój list?

— Tak jest, mój ojcze — odpowiedział syn spuszczając oczy.

— Czemużeś mi przynajmniéj nie odpisał?

— Zbierałem się mój ojcze, ale nic uwierzysz jak byłem zatrudniony.

— A więc masz robotę, obstalowano jaki obraz u ciebie? dobrze, dobrze mój drogi — czasby też było mieć jakie dochody ze sztuki, dla któréj poświęciłeś swój młody wiek i która mnie także nie mało kosztuje.

— Oh! nie mój ojcze, odpowiedział pan Soliman, wciąż patrząc w ziemię; przyznam ci się, że nasza publiczność strasznie jest obojętną na sztuki, że ar-

tysta ziomek, zawsze jest od niéj lekceważony i że ja dla powodzenia, będę musiał koniecznie za granicę wyjechać.

— A kto wie czy i tam będzie lepiéj?

— Musi być, musi mój ojcze.

— Tylu jest artystów.

— I ja się pomiędzy nimi pomieszczę.

— Ja myślę mój drogi, mówił ojciec z niajaką nieśmiałością, lękając się obrazić syna. — Ja myślę, że i na własnéj ziemi chleb jeść można.

Mówią że i u nas są artyści, a artyści ziomkowie, pracują, zarabiają i robota u nich nie leży; ale mój drogi Solimanie, ludzie ci, znają się na swojéj sztuce, w niéj są zamiłowani, a ty zaś więcéj podobno żyjesz dla świata i zabaw, niż dla pędzlika, który wtedy da chleb dopiero, gdy twoja praca da się poznać, i będzie godną uwagi.

— Jakże chcesz mój ojcze, ażebym żył? artysta? muszę żyć stosownie i tru-

dno abym dnie całe z narażeniem zdrowia przy sztalugach przepędzał.

— Ja nic nie mówię mój synu; ale wiem że dużo mię bardzo kosztujesz, że reszty dzieci wychować nie jestem w możności, że wioskę mam obdłużoną i że, jeżeli na pomoc mi nie przyjdziesz, nie wiem jak wybrnę z interessów.

— Mój ojcze, mimo całéj chęci, ale... owszem ja sam chciałem cię prosić, abyś mi pomógł do wyjazdu za granicę, tam wykształciłbym swój talent i powróciwszy, lepsze miał powodzenie, bo trzeba wiedzieć, tylko to u nas jest chwalonem i chwytanem co może się poszczycić, że na obcéj ziemi wyrosło.

— Obadwaśmy się omylili, mój synu; ja liczyłem na ciebie, ty na mnie, a obadwa tylko dobre chęci możemy sobie ofiarować. — Trudno, co robić? dodał z westchnieniem, obadwa musiemy myśléć o sobie i zdać się na wolę Boga. — A cóż ci panowie twoi przyjaciele, nie pozwolą mi zajrzeć do twojego pokoju?

— Zaraz, zaraz mój ojcze, niech się przynajmniéj ubiorą.

To rzekłszy pan Soliman, weszedł do swego mieszkania i ojca w przedpokoju zostawił. — Staruszek przez chwilę upatrywał miejsca na którém mógłby usiąść i znalazłszy krzesło, na którém jakieś leżało pudełko, zdjął je, westchnął i usiadłszy, zamyślił się:

— Kto wie? rzecze po chwili, Soliman może ma słuszność i zapewne inaczejby mu się powodziło, gdyby jaki rok za granicą przepędził, ale o czém i jak?...

Zamyślenie staruszka, i nas na liczne wprowadza uwagi, od objawienia których, wstrzymać się nie możemy.

Zwyczajną u nas jest rzeczą, że talent na własnéj zrodzony ziemi, ani nie ma powodzenia, ani mu wierzyć nie chcą, ani podać dłoni, ani zachęcić, ani pozwolić nawet na to, aby pracował — obcy, choćby najlichszy, choćby nieznany nigdzie, ale dla tego, że może wy-

liczyć miasta które widział, albo przez które przejeżdżał, że mówi jakim obcym językiem, jest zachęcany, chwalony, opłacony, protegowany. — Oburzająca to jest prawda, i dziwić się nie wypada, że częstokroć, wzgardzony niejako talent, zagrzebuje się, trawi sam w sobie i jak wcześnie rozkwitające drzewo, usycha nie przynosząc owoców. — Ztąd, dzisiaj więcéj jak kiedykolwiek, każdy myśli, że z tamtąd przywiezie rozum, talent, powodzenie i za samym wstępem, znajdzie skarby wiedzy i umiejętności. — Wszystkoby to mogło być zaiste, gdyby naprzód były niezłomne chęci, przyrodzone zdolności i chociaż pierwiastkowa wiedza, któréj obcy skąpią i nawet za pieniądze nie ustępują. Zgoła, jak we wszystkiém, co ktokolwiek zamierza wykonać, tak w sztukach i ich kształceniu konieczne są warunki: *chcieć, umieć i módz.* — Brak jednego z nich, zawsze rzecz zostawia niewykończoną, niezupełną i dla tego, nie mającą po-

wodzenia. — U ludzi zwyczajnych, jakich na każdym kroku pełno możemy naliczyć, są *chęci*, albo raczéj zachcenia, a niema owéj niezłomnéj woli, która przeszkody usuwa, zapory wali i wśród łoskotu przeciwności, idzie do zamierzonego celu.

Jak mało jest ludzi mających wolę, tak mniéj jeszcze, ludzi umiejących iść do zamierzonego kresu, zdaje się nawet, że umiejętność o któréj mówiemy, jest wypływem woli.

Obok woli i umiejętności, potrzeba jeszcze sił i bez nich podobno jeszcze kroku zrobić nie można. — bez nich sama nawet chęć jest martwą i niknie w długiém westchnieniu bez możliwego człowieka.

Tak więc z przywidzeń, a nie z chęci, albo woli, bez umiejętności i możności *(sił)* wielu rzuca się zuchwale w dziedzinę sztuk i gdy po wielu zachodach, pochwycą niteczki stosunków, zyskują mierne powodzenie ze stratą ludzi, któ-

rzyby prawdziwe talenta rozwinąć i wykształcić mogli.

Ztąd wzrosła owa wielka liczba artystów, którzy patrzą na siebie z zawiścią, przyzywają monopoliów talentu, prawdziwe usposobienia starają się stłumiać w samym zarodzie i prawdziwą są plagą dla sztuki.

Zwyczajnie ludzie podobni, dogadzają przywidzeniom kupujących, zapominają o świętości sztuki, profanują ją i zaprzedają za pieniądze. — Ztąd upadek, wyrodzenie smaku, naprzód stagnacya, a później zupełne skarłowacenie.

Przecież i do owéj mierności, któréj powodzenia same talenta zazdroszczą, potrzeba ukształcenia, potrzeba znajomości rzeczy, jakichkolwiek zdolności i woli. — Bez nich próżne zachody i ludziom podobnym jak pan Soliman, inny zawód radzilibyśmy jak malarstwo.

Ojciec pana Solimana, zamyśliwszy się, nie zważał, że jaki kwadrans synek go samym zostawił. — Myślał on, to o naj-

starszym synu, to o dwóch dorastających córkach, to o długach, które mu nawet spać nie dozwalały i nie zważał bynajmniéj, że już drzwi mieszkania przed nim się rozwarły i widzieć było można dwóch młodych syna nieprzyjaciół, którzy przed wyjściem jeszcze się fajką raczyli, ustępując ją jeden drugiemu. — Pan Soliman, rzekł więc do ojca:

— Ojcze, proszę cię daléj, tylko przepraszam za nieporządek, który zdaje być przywiązanym do kawalerskiego stanu.

Podniósł się nie młody człowiek postąpił parę kroków i grzecznym ukłonem powitał obecnych, na co oni odpowiedzieli z lekceważeniem.

Po chwilowém milczeniu, gdy pan Alfons i Narcyz mieli wychodzić, drzwi otwarły się z trzaskiem i weszedł młody, blady mężczyzna, ubrany modnie, ale mający w twarzy widoczną niespokojność, którą napróżno ukryć usiłował.

— Hilek! Hilek! powtórzyli obecni, oprócz starego ojca, który siedział w mil-

czeniu, po rozrzuconych sprzętach potaczał oczy, wzdychał i całą swoją powierzchownością objawiał chęć, aby sam mógł z synem pozostać, aby z nim o wielu rzeczach pomówić.

— Dzień dobry, jak się macie? jakżeście się bawili? zapytał pan Hilary, który właśnie po odwiedzinach Ludmiły i spotkaniu mężczyzny, o którego podejrzywał Ludmiłę, sam nie wiedział co z sobą począć i gdzie się udać.

— Wybornie! wybornie! odezwał się pan Narcyz, przy wolnéj chwili dzień czasu będziemy mieli co opowiadać.

— Ha! ha! ha! roześmiał się z przymusem pan Hilary.

— A ty jak się bawiłeś? zapytał pan Alfons.

— Ja? ja?... tak, nie bardzo.

— A co znaczą te potłuczenia? zapytał pan Soliman patrząc na twarz pana Hilarego.

— Maleńką miałem przygodę, sankarz wywrócił mnie.

— Szkoda, że mnie tam nie było, odezwał się pan Narcyz, jabym dopiéro nauczył hultaja.

— Przyznam się, on temu zupełnie nie winien, bo kazałem mu pędzić co sił stanie.

— Za czém?...

— Oh! jest to długa historya, którą wam później opowiem. Chcę nawet waszéj rady zasięgnąć jak sobie mam postąpić.

— A cóż twoja Ludmiła? zagadnął pan Narcyz z lekkim uśmiechem, który przecież na szyderstwo zakrawał.

— Nie zastałem jéj na maskaradzie, właśnie moje potłuczenie spowodowała pomyłka, że nieznajomą osobę za nią uważałem.

— Jakto, nie była? ze znaczeniem zapytał pan Narcyz.

— Mówiła że była cierpiącą i nie wyjeżdżała wcale.

— Oh! co w tym względzie, mogę zaprzeczyć, mój drogi.

— A ty zkąd wiesz? ciekawie zapytał pan Hilary.

— Zkąd? zkąd? to także obszerna jest historya i potrzeba na nią czasu do opowiedzenia. A co Alfonsie, wszak godna pieszczoty dziewczyna? Na honor, nie wiem komubym oddał pierwszeństwo, pani. czy słudze.

— Cóż to ma znaczyć? wcale cię nie rozumiem — odrzekł pan Hilary.

— Wiem, że mię nie rozumiesz i dla tego wiele ciekawych mogę ci udzielić szczegółów.— Nie uwierzysz, ile ważnych rzeczy dowiedziałem się o owéj piękności, którą się tylu łudzicie, a ona wszystkich was zwodzi.

— Narcyzie, zmiłuj się, nie zadawaj mi tak ciężkich razów.

— Ja myślę, że ty je sam zadajesz, wszak ci to sam mówiłem i nie chciałeś mi wierzyć.— Przypomnij sobie ustęp mojego wiersza o kobiétach:

Darmo pierś ją twa przyzywa,
Darmo myślą gonisz za nią,
Ona wdzięczna, lecz fałszywa,
Chce być uczuć twoich panią,
Ale swoich ci nie daje: —
Darmo wzlatasz w marzeń kraje.
Darmo mienisz ją aniołem,
Darmo kornem bijesz czołem,
Przyjmie hołdy, uwielbienia,
Ale serca nie odmienia
Bo w niém złoto i czcze blaski,
Próżność sama, czcze oklaski.

— Dalibóg, odrzekł pan Hilary zniecierpliwiony improwizacyą pana Narcyza, wcale nie tego żądałem od ciebie. — Jeżeli cokolwiek powiesz o Ludmile, bardzo wdzięcznym ci będę, bo przyznam się panom, że ta kobieta od wczoraj do rozpaczy mię przywodzi, a chociaż dziś rano byłem już u niej, chociaż starała się uspokoić mię, jakieś przeczucie nie dobrze mi wróży.

— Wszystko co tylko wiem, opowiem ci szczerze, mój drogi, odrzekł pan Nar-

cyz.— Sądź z tego, jak ci się rzewnie podoba, nie narzucę ci mojego zdania, bo wiesz jak wszystkie kobiéty oceniam.

— Ludmiła nie należy do zwyczajnych kobiét.

— Tém gorzéj; kobiéta czém nadzwyczajniejsza, tém gorsza.— Ale co mi tam do tego?— Słuchaj mój Hilku, wszystko co tylko wiem o Ludmile opowiem ci do słowa.

— Bardzo cię proszę, i zacznij, bo mię niespokojność trawi.

— Tutaj przynajmniéj opowiadać nie mogę, bo naprzód jestem na czczo, powtóre, jak widzisz Soliman ma gościa, który tém dla niego jest pożądańszy, że jest jego ojcem i zapewnie pragnie być sam. Wynika więc z konieczności mój drogi że musiemy iść gdzie indziéj i nie znajduję stosowniejszego miejsca, jak tylko wejść do kawiarni, gdzie ja razem z Altonsem, zapełniemy naszą czczość żołądkową, ty zaś nasycisz swoją ciekawość,

— A więc idźmy — odezwał się pan Hilary, biorąc kapelusz do ręki.

— Służę ci, służę, na honor, jestem głodny, jak człowiek poczciwy, Alfonsie bierz kapelusz, a co nie mówiłem ci, że ta znajomość będzie mi bardzo przydatna.

— Jak teraz, jasno się o tém przekonywam, odpowiedział pan Alfons zarzucając płaszcz na ramiona.

— To nazywamy, umieć korzystać, z okoliczności, rzekł pan Narcyz, stając we drzwiach i kłaniając się ojcu pana Solimana.

Pan Hilary, Narcyz i Alfons, wyszedłszy, pozostawili dobrego ojca z synem i pozwolili czasu poufałego rozmówienia się.

Zostawmy ojca z synem, kłopoczących się nad swojém położeniem i nie mogących znaleść środków polepszenia bytu, jak tylko w ożenieniu pana Solimana, któremu właśnie ojciec stosowną partyą

upatrzył, a udajmy się za młodemi kawalerami i posłuchajmy ich rozmowy.

— No i cóż mój drogi? rzecze pan Hilary do siedzącego z fajką w ustach Narcyza.— Miałeś mi wiele rzeczy o Ludmile powiedzieć, tymczasem, i słowa doczekać się nie mogę.

— Ah! pozwólże mi fajki dokończyć.

— Chętnie; ale dawniej paląc miałeś zwyczaj mówienia.

— Tak, stosownie do humoru; dzisiaj chcę uraczyć się dymem dowoli.— Albo i słuchaj, mniejsza o to, tylko dobrze uważaj.

Pan Hilary nadstawił uszy, wzrok wlepił w przyjaciela i nic nie odpowiedział. Pan Narcyz zaś tak zaczął:

„Wczoraj, na owym przyjacielskim balu, gdzie jak wiesz na bok przymusy, poznałem dziewczynę, ciałem aniołowi podobną, o duszy mowić co nie mam, bo wiesz, jak utrzymuję w tym względzie. — Podobała mi się, i powoli, powoli zabrałem znajomość. — Z ubioru

wnosząc, sądzićby można, że to jaka wielka pani, ale ja później przekonałem się, że tylko była służąca? Rozumiesz, służąca? Dla mnie, ktory zwalczam przesądy, znajomość ta była tém droższą. — Ale słuchaj u kogo służy?

— Alboż ja wiedzieć mogę? odrzekł z interessowaniem pan Hilary.

— Powinieneś odgadnąć. — Ale na cóż mam cię utrudzać? powiem ci więc krótko, owa piękna dziewczyna, ubrana zapewne w pani suknie, była służącą Ludmiły.

— Ludmiły?

— Tak jest, jéj służąca. Pojmujesz Alfonsie, zwrócił się pan Hilary do młodego artysty muzykusa, co to za skarby wiadomości, albo po prostu mówiąc, plotek wydobyć można z pokojowéj, czy tam garderobianéj, podobnéj jak Ludmiła kobiety. — Otóż wziąłem się szczerze do tego, badałem, pytałem ową dziewczynę, poiłem ją herbatą i ponczem, o-

świadczyłem nawet moją dla niéj miłość i przy pomocy tylu środków, udało mi się niejednę ploteczkę usłyszéć. — Ah! Gdybyś ty tam był Hilku!...

— Zmiłuj się, mów, konam z niecierpliwości, odpowiedział pan Hilary.

— Hej! fajkę — zawołał pan Narcyz, zamiast odpowiedzi i gdy mu tę podano, porządny kłąb dumu z ust wypuścił, rozparł się na sofie i zaczął:

„Twoja Ludmiła mój Hilku, jest to kobieta zimna, nieczuła, lód jednym wyrazem.

— A to zkąd wnosisz? zagadnął pan Hilary.

— Z tego, że ma przyjemność w tém aby ją otaczano, wielbiono, czołem bito pokłony, a ona żeby się uśmiechała, wdzięczyła i spała spokojnie.

— Oh! ja tak nie sądzę wcale.

— Ja sądzę i jestem pewny mojego zdania. Cóż powiesz o mężczyźnie, któ-

ry dla kilku, kilkunastu kobiet, jest zarówno grzeczny, wszystkim pochlebia, do wszystkich się wdzięczy, jakby je wszystkie razem pragnął zaślubić?

— Że żadnéj nie kocha i wszystkie zwodzi, odpowiedział z pośpiechem pan Alfons.

— Nie inaczéj. — Toż samo jest i z kobietą. — Otoczona wieloma wielbicielami, uśmiechająca się do wszystkich, nęcąca wszystkich, lubiąca hołdy, jest tylko próżną i czczą istotą — w któréj niema duszy, ani serca. — Że taką jest twoja Ludmiła, dawno mówiłem; ona nikogo nie kocha, a tém bardziej ciebie mój drogi, który masz mniej od innych tak wdzięków, jak majątku i rozumu.

Tak widoczna prawda, nieprzyjemne na panu Hilarym musiała zrobić wrażenie, bo skrzywił się okropnie, splunął i choć pan Narcyz przestał mówić, nie nalegał na niego więcéj. On przecież sam mówił dalej:

— Podobnych tobie, mój przyjacielu, Ludmiła bardzo wielu liczy i nie jestem w stanie wymienić nazwisk, jakie mi wydeklamowała jéj garderobiana. — Co do istotnego stanu rzeczy, to przecież mogę ci powiedzieć, że pewien młody człowiek, nie nazbyt bogaty, ale mający dostateczne fundusze, popiera jéj rozwód, dzisiaj zaspakaja jéj potrzeby i fantazye, a i on zaręczam nie jest kochany, bo jak ci mówiłem, ta kobieta nie ma duszy, ani serca.

— Nie, to być nie może, odezwał się pan Hilary, jest to potwarz wymyślona na schańbienie kobiety wyższej nad całe towarzystwo.

— Być może, odrzekł z zimną krwią pan Narcyz, jednak wszystko co mi mówiono, znajduję prawdo-podobném. — Wiesz zapewne, że Ludmiła oprócz wyprawy, żadnego od rodziców nie wzięła posagu, że przez rok pożycia z mężem, zniszczyła go zupełnie i gdy ten nie

mógł już zaspakajać jéj urojeń, żądała rozwodu; nie tajno także światu, że jéj ojciec w przykrém dzisiaj zostaje położeniu i że bez owego kochanka, sama nie mogłaby utrzymać owego blasku, który zdaje się życie jéj stanowić.

Pan Hilary, zamiast odpowiedzi westchnął ciężko, a Narcyz mówił daléj:

— Mężczyzna, który dzisiaj zaspakaja jéj potrzeby, jak mi mówiła jéj pokojowa, jest bardzo przyzwoitym człowiekiem, utrzymuje się porządnie, uczęszcza w dobre towarzystwa i dobrze używa swoich funduszów. Ma to być jeden z jéj z wielbicieli z czasów małżeńskiego pożycia, dla którego zapewne się rozwodzi i za którego za mąż pójdzie, jeżeli jaki bogatszy, nie złoży u jéj stóp swoich dostatków.

— Jakże złe masz o Ludmile pojęcie! przerwał pan Hilary, powstając. — Na honor, niczemu nie uwierzę, póki naocznie się nie przekonam.

— To do twéj należy woli, odpowiedział pan Narcyz, to co ci powiedziałem, sądziłem, że cię uleczy z szału, z którego nic dobrego obiecywać sobie nie możesz. — Wreszcie, czas wszystko wyjaśni, i myślę, że nie długo zrobi ci tę przyjemność, bo Ludmiła po uzyskaniu rozwodu, ma iść za mąż.

— Bardzo to są rzeczy podobne, odrzekł pan Hilary, jednak ważne zachodzi pytanie za kogo?

— To pewna, że nie za ciebie, odezwał się milczący dotychczas Alfons.— Ja sam jako przyjaciel nie bardzo życzyłbym ci podobnego szczęścia, chyba żebyś miał kilka miljonów majątku i cokolwiek silniejszy charakter.

— Dziękuję za dobre życzenie, z gorzkim uśmiechem odrzekł pan Hilary.— Jedno mam zadać ci pytanie mój drogi Narcyzie, powiedz mi czy Ludmiła wczoraj wieczór była w domu?

— Przynajmniéj jéj garderobiana mówiła, że wyjechała w kostiumie i masce.

— A więc to ona! zawołał z wyrazem rozpaczy pan Hilary. — To ona! żadnej teraz nie ma wątpliwości, a ów mężczyzna brunet, to pewnie jéj kochanek.

— Taki noszący tytuł, nie przeczę; ale równie zwodzony, jak wszyscy, którzy ją otaczacie.

Umilkł pan Narcyz, pan Hilary zaczął chodzić po pokoju i po chwili zwracając się do swojego przyjaciela, rzecze.

— Jakkolwiek bądź, chciałbym się o wszystkiém przekonać, aby stosownie postąpić, bo za nadto wiele cierpię, abym miał moją boleść przebaczyć.

— Najlepszém będzie przekonaniem, odrzekł pan Hilary, gdy ujrzysz ową czarującą Ludmiłę, zaślubioną owemu jegomości.

— Nie, ja wprzódy chcę wszystko wiedzieć.

— Możesz, jeżeli zechcesz.

— Jakim sposobem?

— Za pomocą jéj garderobiany.

— Chyba ty będziesz mi w tym względzie użytecznym.

— Najchętniéj.

— Więc kiedy widzieć się będziemy?

— Kiedy będę mógł donieść ci co nowego.

— Czekam cię niecierpliwie.

— Właśnie jutro mam ją widzieć.

— A więc...

— Więc teraz, możesz iść spać, boś widzę niewyspany i potrzebujesz spoczynku.

Pan Hilary zapłacił kawę i fajki i wyszedłszy z przyjaciołmi, rozdzielił się, albowiem oni w inną udali się część miasta, on zaś do siebie.

W męczących myślach, przepędził pan Hilary kilka godzin; ze wszystkich udręczeń, najprzykrzejszą mu była myśl o

Ludmile, której wyrzec się nie miał dość siły, a którą posiadać, było mu niepodobna.

Wreszcie, rzucił się na łóżko i strudzony zasnął snem twardym.

ROZDZIAŁ VII.

GOŚĆ U LUDMIŁY — UKŁADY, JESZCZE JEDNA OSOBA.

Mężczyzna, którego spotkał pan Hilary wychodząc od Ludmiły, wyskoczywszy z powozu, spiesznie wbiegł na wschody, mocno pociągnął za sznurek od dzwonka i gdy mu natychmiast otworzono, nie pytając o pozwolenie, wszedł krokiem pewnym do bawialnego pokoju

zkąd skierował się na prawo i stanął w gabinecie Ludmiły.

Piękna kobiéta siedziała wpół-wsparta na sofie i przeglądała jakieś dzieło pełne rycin, które francuzi nazwali *illustré*, a w którém piękne sztychy ułatwiają trudy czytania i pozwalają dokładnie znać dzieło po przejrzeniu obrazków.

Jakby przelękniona nagłém i głośném wejściem, wzdrygnęła się, spojrzała z trwogą i potoczywszy oczyma w około siebie, powstała i czułym rzekła głosem:

— Ah! to ty Henryku!... Jakżeś dobry, że nie zapominasz o twojéj Ludmile, właśnie myślałam o tobie i sądziłam, że albo spoczywasz jeszcze, albo gdzie indziéj szukasz zabawy.

— Dzięki ci, dzięki mój Aniele, odrzekł, mężczyzna zbliżając się i biorąc białą rękę Ludmiły — gdzież dla mnie może być milsza zabawa, jak przy tobie? jakaż myśl, może mię więcéj czarować, nad to wspomnienie, że ty mię

czekasz, że pragniesz widzieć.— Jakżeś spała, droga kochanko?

— Nie szczególnie — wciąż snuły mi się przed oczami maski, kostiumy, i brzmiało w uszach zapewnienie twojéj miłości. Siadaj Henryku, mam wiele ci do powiedzenia; uśmiejesz się serdecznie, bo ja sama ledwie się mogę wstrzymać od śmiechu.

— Oh! i ja mam ci mówić Ludmiło; ale to, co ci powiem radość ci przyniesie.

— A więc siadaj — mów mój Henryku.

Ludmiła wzięła za rękę Henryka i posadziła na téj saméj sofce, przy sobie na któréj nie dawno siedział z nią pan Hilary.

Henryk zaczął w te słowa:

— Ludmiło, chwila naszego szczęścia już bliska.— Ufny twojemu słowu czekam z niecierpliwością rychło cię nazwę moją żoną i jak dozgonną przyjaciółkę, przycisnę do łona.

Ludmiła uśmiechnęła się wdzięcznie i uścisnęła rękę Henryka, mówiąc:

— Zapewne rozwód nastąpi nie długo?

— Tak moja kochanko, adwokat był właśnie u mnie, sprawa będzie dziś jutro i pomyślny skutek nie zawodny.

— Bardzo mię cieszy ta wiadomość.

— Oh! wierzę, wierzę luby Aniele; ja nie mam wyrazów na objawienie mojéj radości. — Ludmiło, żyć dla ciebie, umrzéć przy tobie, jedyne moje pragnienie.

I w uniesieniu miłosnem Henryk upadł do nóg Ludmiły, która więcéj zadowolona niżeli rozczulona, mówiła.

— Ty jeden ze wszystkich Henryku, ty jeden jesteś mi najdroższym.— Ale powstań mój drogi, mnie przyjemniéj gdy cię widzę przy sobie, gdy patrzę na twe szlachetne oblicze, gdy mogę dotknąć twych kruczych włosów.

Posłuszny Henryk, powstał i znowu usiadł przy Ludmile, która mu zadała pytanie:

— Więc po rozwodzie, zaraz i nasz

ślub nastąpi?... Ah! jak to dobrze Henryku, przyrzekłeś mi, że wyjedziemy do Paryża i jestem pewna, że słowa dotrzymasz.

— Wszystko uczynię, co tylko może ci sprawić przyjemność, odrzekł czuły kochanek.

— Ah! jakżeś dobry, mój Henryku; właśnie takiego pragnęłam męża i zjściły się moje marzenia.— Nie uwierzysz jak pragnę być w Paryżu!— To ognisko sztuk i nauk, zapala moją wyobraźnią, goreję cała pragnieniem aby odetchnąć owem powietrzem wielkiego świata. — więc przyrzekasz mi mój drogi, że zaraz wyjedziemy po ślubie?

— Daję ci słowo; spełniać twoje chęci, to jedyne moje pragnienie. Nie uwierzysz, jakie to szczęście poświęcać się dla osoby, którą kochamy!— Przyznam ci się moja Ludmiło, czasem szalone myśli przychodzą mi do głowy, że chciałbym ginąć, umierać dla ciebie, byle cię przekonać, jak moja miłość jest

namiętna i gorejąca.— Ludmiło, może masz jakie potrzeby? Mów szczerze, ja wszelkiemi siłami będę się starał, aby zaspokoić twoje pragnienie, może ci się co podobało, moja droga? może pragniesz posiadać jaką drobnostkę, którą się szczyci która z twoich rywalek? powiedz szczerze moja kochanko.

— Drogi, kochany Henryk, odrzekła Ludmiła i zawiesiła mu się na szyi — Jak tu nie kochać takiego Anioła, jak tu nie przywiązać się do niego całą duszą i sercem?

Stłumione westchnienie Henryka, iskrzące oko, dowodziły jego wzruszenia, owego przyjemnego wzruszenia, w którém się zapomina o wszystkiém, a żyje jedynie roskoszą.

— Oto jest, rzecze dobywając paczkę z kieszeni; oto jest mała sumka; za którą możesz sobie sprawić przyjemność, jaka ci się będzie podobała. Nie szczędź nic moja Ludmiło, ja myślę, aby ci nigdy nie brakło.

Wdzięczny uśmiech, serdeczne ręki ściśnienie nagrodziły sowicie małą ofiarę narzeczonego.

Ludmiła postąpiła kilka kroków, aby na biórku położyć ofiarowane sobie pieniądze i wracając do Henryka, mówiła:

— Muszę ci Henryku opowiedzieć dalszy ciąg wczorajszego maskaradowego spotkania. — Czy przypominasz sobie owego kapucyna, który ustawicznie chodził za nami, który gdyśmy wyjechali, gonił nas i który ciebie wprawiał w podejrzenie, że jest moim kochankiem.

— Bardzo jestem ciekawy.

— Nie trzeba ci mówić, że mam wielu znajomych, że umiejąc żyć w świecie, nikogo nie odpycham od siebie i że dla tego, nie jednemu roi się w głowie, że jestem w nim zakochana. Z liczby podobnych szaleńców jest i ten młody człowiek, którego wczoraj widziałeś.

— Którego jadąc tutaj, spotkałem.

— Tak, ten sam; właśnie co tylko przed tobą oddał mi swoją wizytę i ubawił serdecznie.— Wyobraź sobie, mój Henryku, kocha się we mnie na zabój, ale zupełnie w oryginalnym sposobie; przyznam ci się, bawi mię jego miłość i dla tego nie mam odwagi powiedzieć mu, aby się upamiętał.

— Ale możeby było lepiéj wywieść go z błędu i nie narażać na mimowolne cierpienia.

— Cóż mi to szkodzi, mój drogi?

— Tobie nic moja najdroższa; ale on może cierpić okropnie.

— Któż mu winien, że się nie umie poznać, że z niego żartuję.

— Ale bo ty często, bardzo zręcznie żartujesz.

— Nie pochlebiaj mi Henryku. — Wiesz, że mię to bawi i w mojém przekonaniu to wcale niewinna zabawka.

— Oh! nie, moja Ludmiło. — Pozwól sobie powiedzieć, ale to zupełnie niebezpiecznie igrać z cudzemi uczucia-

mi. — Przyznam się tobie moja najdroższa, że ja sam lękam się ciebie i myślę, że także ze mnie żartujesz.

— Jakaż myśl Henryku!

— Prawdopodobna — krótko odpowiedział Henryk, zamilkł i zamyślił się.

— Otóż i zazdrość, mówiła Ludmiła opierając rękę na jego ramieniu, Henryk skarżyć się na mnie nie może, bo jest kochany nad wszystko i ma zapewnienie méj ręki. — Otóż uważaj Henryku, co się stało z owym młodzieńcem.

Jakiżeś smutny, mój drogi. — Wiesz, że nie lubię posępnych twarzy.

— Nie, nie, moja kochanko, odrzekł jakby ocknięty Henryk. — Słucham cię z całą uwagą.

— Wiesz, że gdyśmy wyjechali z maskarady, mówiła Ludmiła, gonił nas aż do mego mieszkania i nim zdołaliśmy wysiąść, już stał przy bramie, — prosiłam cię wtedy Henryku, abyś daléj jechać kazał, a wtedy i on puścił się za nami. — Przy Nowéj drodze, zwróciliśmy

się na prawo, on chciał za nami zdążać i wywróciwszy się, potłukł okropnie.

— Biedny człowiek! mówił tonem politowania Henryk.

— I ty jego żałujesz?

— Jakże nie mam żałować? Każdy cierpiący, słusznie, czy nie słusznie, zasługuje na litość i dziwno mi moja Ludmiło, że bawią cię wypadki które innym boleść sprawiają.

— Ale bo to śmiesznie, mój Henryku.

— Nie byłoby śmiesznie, gdybyś tego nie chciała.

— Jak widzę, w złym jesteś dzisiaj humorze.

— Bynajmniéj.

— A więc nie mówmy więcéj o tém młodym człowieku.

— I owszem; ja pragnąłbym, abyś przy pierwszym widzeniu się z nim, wszelką mu odebrała nadzieję i wyprowadziła z błędu, mówiąc, że twoje serce już do kogo innego należy, że niém

rozrządzać nie możesz i że po uzyskaniu rozwodu, oddasz wybranemu przez ciebie mężczyznie swoją rękę.

— A to na co? zdaje mi się, że na rozczarowanie go zupełne, dosyć będzie wiadomości, żem twoją żoną została.

— Czyń jak ci się podoba, odrzekł Henryk powstając; ale jeżeli wolno przypomnieć, mnie to nie sprawia przyjemności.

— A więc uczynię jak każesz. Gotowa nawet jestem napisać, aby mię więcéj nie odwiedzał.

— Nie znajduję tego stosownem.

— A więc powiedz, co mam uczynić?

— W błędy nie wprowadzać nikogo, być grzeczną, lecz obojętną.

— Ja właśnie jestem taką. Jak cię kocham Henryku, nigdy się na mnie nie będziesz skarżył.

I zawisła na szyi młodego mężczyzny, który w uniesieniu znalazł zapewnienie spełnienia jego woli.

— Nie długo bawił Henryk w domu Ludmiły, bo mówiąc, że ma wiele interessów do załatwienia, śpiesznie wyjechał.

Piękna kobieta pozostawszy samą, z widoczną radością wzięła do ręki pozostawiony jéj pakiecik i przeliczając bilety bankowe, mówiła:

— Jakby z nieba mi spadło; a władnie tak pragnęłam mieć wiele drobiazgów, którem w sklepach widziała, a których nie miałam nadziei posiadać. — Aż serce mi się krajało, z boleści, aż łzy stały mi w oczach, że nie mogłam mieć tego co inne mają. Tysiąc, tysiąc dwieście, trzysta, czterysta, pięćset, ośiemset, dwa tysiące! — Jakże dobry ten Henryk!.. Jeżeli zawsze takim będzie, prawdziwie dla mnie na męża stworzony. — Ah! ileż przyjemności sobie zgotuję, kupując cacka, które tak lubię. — Ma foi, to prawdziwe życie kupować!... Gdybym mogła, całe sklepy bym zakupiła. —

Niecierpliwość mię bierze i chciałabym jak najprędzéj wyjechać.

To mówiąc, pochwyciła dzwonek i mocno go poruszyła. — Wbiegł czuwający na rozkazy lokaj, i odebrał zlecenie, aby konie natychmiast były gotowe.

Właśnie, pojazd stał już zaprzężony i Ludmiła wdziewała kapelusz, salopę z futrem i przeglądała się we zwierciedle, gdy dzwonek w przedpokoju mocno zadzwonił i weszedł mężczyzna średniego wieku, umiarkowanéj tuszy, w szopach i z sygarem w ustach.

— A co, jest pani? rzecze przybyły do lokaja.

— Jest, ale zaraz wyjeżdża.

— Nic nie szkodzi.

I weszedł śmiało nie wyjmując sygara z ust.

Ludmiła spostrzegłszy we zwierciedle przybyłego mężczyznę, odwróciła się natychmiast i biegnąc, aby rękę jego ucałować, mówiła:

— Ah! jakżem szczęśliwa, że papa mię odwiedził, przez kilka dni byłam cierpiąca i nie mogłam być u rodziców. Prawdziwą łaskę wyświadczasz twojéj córce, mój ojcze.

— Jakto, byłaś cierpiącą, moja Ludmilko?

— Tak, mała niedyspozycya, ból głowy, zapewne katar, mój ojcze.— Jakże się miewają mama i siostry? Jak widzę i papa nieszczególnie wygląda, miałżeby być cierpiącym?

— Nie, moja droga, odrzekł ojciec Ludmiły siadając na najbliższem krześle, zdrów jestem Bogu dzięki, ale przeklęte interessa kłopocą mię niesłychanie, że o mało głowy sobie nie urwę.

— Ah! te interessa, odezwała się z ciężkiem westchnieniem Ludmiła; przyznam się papie, że kiedy pomyślę o smutném położeniu rodziców, dreszcz mię przechodzi, tracę sen i apetyt, widocznie chudnę i zalewam się gorzkiemi łzami. — Ah! jak to ciężko doznawać niedostatku

żyjąc dawniéj w wygodach, a nawet w zbytku.

— Przecież musi się to zmienić moje dziecię, odrzekł ojciec Ludmiły z ciężkiem westchnieniem.— Nie raz w mojém życiu podobnych doznawałem zmian losu, cierpienia przemijały i teraz mam nadzieję, ze nie długo rozjaśni się moja gwiazda.

— Oh! Boże daj; obym ja w czémkolwiek mogła być rodzicom użyteczną; codzień modlę się, aby mi Bóg pozwolił zrządzić wam pociechę, jakiéj się po mnie spodziewaliście.

— Drogie kochane dziecię, rzekł ojciec Ludmiły, powstając i biorąc ją w swoje objęcia.— Tak, jest nadzieja, że będzie lepiéj; ale teraz przyznam ci się, że do rozpaczy przychodzę.— Gdzie tylko mogłem pożyczałem i wierzycieli moich nawet spamiętać nie mogę. Pozbyłem się najkosztowniejszych sprzętów, pozastawiałem srebra i klejnoty, zgoła, nie mam się uciec do czego.— Twoje sio-

stry, biedne dziewczęta, nudzą się w domu, od dwóch tygodni nigdzie nie były, matka twoja od dwóch miesięcy niesprawiła nowéj sukni i obok tylu dolegliwości, wierzyciele mię prześladują; co dzień nowy pozew, co dzień jaki nakaz komornika i jeżeli mię jaki cud nie wybawi z tego nieszczęścia .. powiadam ci moja Ludmiło, ja tego nie pojmuję. — O głupie pięć set złotych ogłoszono licytacyą na moje konie i powóz.— Jakżesz u licha zostać i bez powozu!... Na honor, chodzę po mieście, myślę i myślę i sam nie wiem co począć.— Pięć set złotych! uważasz, ile mię nabawia kłopotu, mnie, który parę tysięcy nie raz, nie pytając nawet na co, wydałem. Oh! moja Ludmiłko, ciężkie, okropne czasy!...

Ludmile zakręciły się łzy w oczach, trysnęły nawet i rozlały się potokiem po pięknéj twarzy; całując ojca po rękach mówiła ze łkaniem:

— Ojcze, mój drogi ojcze, to są cięż-

kie cierpienia, które mię do żywego przejmują. Oh! wierzaj mi, kochany ojcze, nie ma ofiary, jakiejbym nie poniosła, aby ciebie wybawić z kłopotu.— Powiedz, co mogę uczynić dla ciebie?

— Cóż innego możesz uczynić o drogie dziecię, jeżeli nie możesz postarać się o pieniądze?

— Jakże ci wiele, o drogi ojcze potrzeba?

— Mówiłem ci że najmniéj pięć set złotych.

— Pięć set złotych! powtórzyła Ludmiła pięć set złotych, prawdziwie nie wielka summa.— Ale cóż ja uczynię? Gdyby tutaj był Henryk... tak on zapewne nie pozwoliłby mi doznawać podobnych udręczeń.

— Więc nie masz sposobu?

— Żadnego.— Albo powyślę, mój ojcze, dam ci znać, albo sama do was przyjadę.

— Zdaje mi się, że miałaś gdzieś wyjeżdżać.

— Tak, chciałam przejechać się odwiedzić jedną z moich znajomych.

— Nie zabieram ci więc czasu; ja muszę starać się o pieniądze, bo nie pozwolę, aby mi sprzedano konie i powóz.

Pożegnawszy córkę, ojciec Ludmiły, śpiesznym oddalił się krokiem, ona zaś niebawem, wsiadłszy do pięknego powozu i wprzódy otarłszy łzy, szybko przesunęła się po Nowym-Świecie i Krakowskiem-Przedmieściu odbierając ukłony licznych znajomych i odpłacając wdzięcznemi uśmiechami.

Niebawem, stanęła na Miodowéj ulicy przechodziła ze sklepu do sklepu, przeglądała towary, wybierała cacka, była swobodną i wesołą.

W parę godzin, powróciła do domu z wypakowanym powozem różnemi, nawet bezużytecznemi cackami, na które wydała całe pozostawione jéj przez narzeczonego pieniądzę; bawiła się niemi, uśmiechała, wdzięczyła i zupełnie zapomniała, że ojciec jéj, nad którym gorz-

kie łzy wylewała, troszczy się o pięć set złotych na zaspokojenie długu.

Oto czułość!

Ale nie dziwmy się pięknéj kobiecie, nie obwiniajmy jéj nawet; ona nie zna przyjemności dobrze czynienia; nikt, nigdy nie dał jéj poznać téj roskoszy, nikt i nigdy, nie powiedział jéj że ma duszę i serce, ona téż ich w piersiach nie czuje.— Blask, próżność była jéj dzieciństwa bożyszczem i będzie do końca życia.

Niechaj rodzice cieszą się owocami dobrego wychowania!

ROZDZIAŁ VIII.

SKUTKI DOZNANYCH PRZYGÓD,— PAN NARCYZ Z WIADOMOŚCIĄ — CHOROBA — LIST.

Było koło dziesiątéj rano, dzień pogodny i mroźny, gdy pan Hilary ocknął się ze snu mocnego i chcąc się podnieść, uczuł głowę ciążącą, całe ciało zbolałe i osłabienie, nie pozwalające podnieść się z łóżka.

Przetarł oczy, chciał patrzéć, ale wszystko było jak za mgłą, usta miał

spalone od gorączki i w głowie snuły się wspomnienia dziwacznych marzeń, które go niepokoiły przez noc całą i teraz jak widma stały mu przed oczyma pamięci.

— Szymonie! Szymonie! zawołał i upuścił ciążącą głowę na poduszkę.

Żadnej nie dano mu odpowiedzi, w mieszkaniu, cisza zupełna i tylko kiedy niekiedy rozlegnie się łoskot idących po wschodach.

— Ah! niegodziwiec mówił pan Hilary z boleścią; gdzież on poszedł u licha!... Jakże mi zimno, jakże głowa mię boli!... Oh! ci ludzie, niegodziwi ludzie, opuszczają nas, gdy nam są najpotrzebniejsi.

Umilkł, a w jego głowie snuły się rozmaite marzenia, które go albo kołysały, albo przenikały dreszczem. — Zaczął więc mówić, ale bez sensu i związku, zwyczajnie jak gorączkowy.

— Ludmiło, czarująca istoto! kochanko mojej duszy, jakże jéj spojrzenie pa-

li!... Zmilujcie się nie zabierajcie moich rzeczy, co winienem, zapłacę, wszak mój ojciec ma majątek, wszak jestem w stanie zapłacenia, com komu winien. — Ah! ten brunet, jak z nią jest poufale, jak na nią patrzy śmiało, jak ona uśmiecha się do niego!... Ah! nie przeżyję tego!... On jest od niéj kochany!... Ma ją zaślubić, ma być szczęśliwy z nią. Ah! wiarołomna.

Umilkł, zamrużył oczy i zdawało się że zasnął.

Po chwili, ocknął się znowu, spojrzał po pokoju i donośnie zawołał:

— Szymonie! Szymonie!.. Szymonie, daj mi wody, tak mi się pić chce okropnie.

Oblizał spalone usta, wyciągnął dłoń jakby chciał podawany napój wziąść do ręki i widząc się zawiedzionym, westchnął i rzekł:

— Nie ma go!... gdzież on poszedł?...

I znowu zmrużył powicki, marzył i gadał w gorączce.

W końcu, zerwał się z łóżka i wybiegł do przedpokoju, aby poszukać wody i zobaczyć, czy Szymon nie powrócił.

Wziął karafinkę do ręki, spojrzał;—ani kropli w niéj wody; udał się za parawan, gdzie stawał dzbanek;— suchy! Spojrzał na posłanie Szymona;—puste!... Nie ma go, nie ma nawet rzeczy do niego należących, wszystko tak uprzątnięte, jakby nigdy nic tam nie było.

— Odszedł mię hultaj!... zawoła z boleścią pan Hilary; odszedł w chwili, kiedy nie ma kto podać mi kropli wody. Ah! to okropność!.. I cóż ja poczne, nieszczęśliwy?... Ah! darmo, trzeba czekać, aż przyjdzie kto ze znajomych.— Byle tylko kto przyszedł, bo sam mógłbym skonać. a niktby o tém nie wiedział.

Nagle, uczuł pan Hilary, jak mu się przed oczyma zaćmiewa, jak nogi chwieją się pod nim i że sił mu nie staje, aby się dostał do łóżka.

Trzymając się sprzętów i ścian z wiel-

ką trudnością doszedł do posłania i padł na nie, jakby nie żywy.

Nastąpiło głuche milczenie, w czasie którego, pan Hilary, czy pozostawał w gorączkowém marzeniu, czy też zasypiał, nie umiemy tego powiedzieć.

Około południa, mocne stukanie do drzwi obudziło go.— Czy posilony snem, czy też zbierając wszelkie siły żywotne, podniósł się z posłania, wolnym i drżącym krokiem przeszedł do przedpokoju i otworzyć zdołał pukającemu.

Przybywającym był pan Narcyz, poeta.

— Ah! Bóg cię przyprowadza, rzecze pan Hilary do niego; o mało nie skonałem z pragnienia.

— Co tobie? co tobie? mój drogi, mówił pan Narcyz, niespokojnie spoglądając na swego przyjaciela.— Ah! jakże masz usta spieczone!.. widać gorączka cię trawi.

— Wody! wody! mój drogi.

— A gdzież twój Szymon? zapytał pan Narcyz.

— Widać odszedł mię, bo nie ma jego rzeczy.

— Odszedł cię!..

— Tak — odszedł.— Mój drogi, podaj mi rękę, zaprowadź do łóżka, bo na nogach utrzymać się nie mogę.

Z uczuciem prawdziwego przyjaciela, bo pan Narcyz mimo fałszywie wyrobionych o ludziach pojęć, dobre miał serce, przeprowadził chorego do sypialnego pokoju, położył na łóżko, okrył i zaleciwszy spokojność, pobiegł sam z karafinką po wodę.

Szklanka wody, podana życzliwą ręką, była zdaje się ożywnym napojem dla pana Hilarego. Wychylił ją jednym duszkiem i jakby ożywiony z wdzięcznością, wyciągnął dłoń:

— Dziękuję ci, dziękuję.— Ah! jak mi dobrze.

Narcyz uścisnął nawzajem dłoń przyjaciela mówiąc:

— Ty jesteś bardzo słaby i trzeba starać się, aby twój stan nie pogorszył się.

— Oh! tak, było mi bardzo źle, ale teraz daleko lepiéj, woda mi życia dodała.— Siadaj, siadaj, przy mnie, będzie mi z tobą weseléj.— Ah! jakże smutno bydź samemu!..

Nic nie odpowiedział pan Narcyz, usiadł w milczeniu, oczy wlepił w przyjaciela i obadwa milczeli.

— A cóż Ludmiła? zapyta po chwili pan Hilary, który pomimo choroby nie mógł się pozbyć panującéj myśli.

— Cóż cię Ludmiła obchodzi?... Na honor, ta kobiéta nie warta, abyś o niéj myślał.

— Co mówisz?

— Ludmiła, zdrowa, wesoła, bawi się i pięknie ubiera, odpowiedział pan Narcyz zmieniając odpowiedź z uwagi, aby wzruszeniem nie pogorszyć stanu chorego.

— Bawi się, wesoła, zdrowa, powtó-

rzył pan Hilary — a ja, bardzo, bardzo chory; ona nic o tém nie wie i lepiéj, bo dręczyłaby się biedaczka.

— Bądź o to spokojny.

— A co, czy widziałeś jéj garderobianę?

— Widziałem.

— I cóż.

— Ludmiła za mąż idzie — odpowiedział jakby przez zapomnienie pan Narcyz.

— Ludmiła za mąż!.. za owego bruneta, nie prawdaż?

— Nie, nie, ja omyliłem się; chciałem powiedzieć, że rozwód jéj na dokończeniu.

— Oh! nie, nie, przypominam sobie, miałem sen, widzialem na własne oczy; tak, teraz wszystko dobrze przypominam sobie.

— Ale któżby snom wierzył? miałe gorączkę, nic więcéj. — Może czego potrzebujesz, mój Hilku?

— Głowa mię okropnie boli, zdaje się, że mi skronie popękają.

— Trzeba coś radzić koniecznie.

— Rób co ci się podoba, ja nawet mówić nie mogę.

Chory wpadł w jakiś rodzaj odrętwienia, który mocno strwożył Narcyza, powstał więc, przeszedł kilkakroć po pokoju i mówił do siebie:

— Nie można go opuszczać; stan jego jest niebezpieczny i jeżeli się nie polepszy, trzeba przywołać lekarza, tym czasem, ja jego miejsce zastąpię i chociaż rumiankiem będę go liczył.

Przy pomocy miejscowego stróża, rozpalił pan Narcyz ogień, zgotował rumianku i napoił nim przyjaciela.

Noc całą spędził przy nim, czuwając aby wszelkim jego dogodzić potrzebom.

Nazajutrz rano, znajdując nie zamożną kassę pana Hilarego, wybiegł na miasto, aby się postarać o pieniądze i przywołać lekarza.

Z niemałym kłopotem, udało mu się przecież zaspokoić potrzeby doktora i apteki. — Niestrudzony, troskliwy, pełnił wszelkie posługi około swojego przyjaciela.

— Drugiego dnia, znowu doktór odwiedził swojego pacyenta. — Chorobę jego, pochodzącą z zaziębienia i kłopotów, znalazł mniéj bezpieczną i uwiadomił o tém pana Narcyza.

Wypadało koniecznie, aby uwiadomić ojca pana Hilarego o chorobie syna, albowiem i gwałtowne potrzeby wymagały pomocy rodzicielskiej i miłość ojcowska zawsze lepiéj obmyśla środki ratunku.

Napisał więc pan Narcyz list następujący:

Wielmożny Mości
Dobrodzieju!

„Jako przyjaciel syna pańskiego, przykrego dopełniam obowiązku, że muszę uwiadomić Go o niebezpiecznéj chorobie

Hilka. — Sam, bez usługi nawet, cierpiący i prawie bez przytomności, nadto pozbawiony funduszów ratunku, w najokropniejszem jest położeniu. — Dla tego, obecność kogokolwiek z familii jest niezbędną i to jak można najśpieszniéj."

Łączę wyrazy uszanowania.

Narcyz W...

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.